Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

cena 25 gr.
nr 10 (43)
1. VI. 1936
LWÓW

NOWE CZASY

W programie Obrony Polski znajdzie się wszystko.. znajdzie się droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych... znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba.

*

Surowość w wymaganiach i stawianiu zadań jest jednem z najbardziej zasadniczych elementów w naszej dzisiejszej polskiej sytuacji.

(GEN. RYDZ-ŚMIGŁY)

●

STEFAN MĘKARSKI

Idea Obrony Polski

Istota zmian *politycznych* w Polsce, dokonanych w maju, a wyrażających się w *nagłem* ustąpieniu b. premjera Kościałkowskiego i w wytycznych nakreślonych na Zjeździe legjonowym przez Gen. Inspektora Sił Zbrojnych Rydza-Śmigłego, który z roli dotychczas biernej przeszedł do *czynnego* kształtowania naszej rzeczywistości politycznej — *polega na powrocie do autorytatywnej metody rządzenia.*

Pismo przezemnie redagowane było napewne jednem z pierwszych, które na porzucenie tej metody w kilka miesięcy po śmierci marsz. Piłsudskiego zwróciło uwagę i przed następstwami wszczętego po latach dziesięciu na nowo kursu liberalizmu politycznego, najusilniej przestrzegało. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że im dłużej ten kurs trwać będzie, tem silniej i beznadziejniej będzie paraliżował, rozkładał i rozstrajał nasze życie wewnętrzne. Było więc dla mnie jasnem jak słońce, że kurs ten rychło ulegnie likwidacji. Półroczne zgórą doświadczenie, posępny obraz życia polskiego w ciągu tego okresu, w stu procentach potwierdził te ówczesne przewidywania.

I rzecz znamienna. Jeśli tak nagle i radykalnie zrywa się dziś z próbą politycznego liberalizmu, to napewne nie dlatego, jakoby go *nie chciano* stosować (choćby wbrew duchowi konstytucji, która jest konstytucją politycznie antyliberalną), ale dlatego, że *życie*, że *rzeczywistość* na stosowanie tego kursu nie pozwala i każe go zaniechać. Niebezpieczeństwa wewnętrznej sytuacji, wywołane upiorem z przed laty dziesięciu — stały się zbyt poważne, aby można je było lekceważyć i dłużej je tolerować. W poprzednim nrze „Nowych Czasów“, w artykule o dziesiątej rocznicy rewolucji majowej wskazywałem nieodpartemi cytatami zdumiewającą analogję napięć wewnętrznych wówczas i dzisiaj, wynikłych z tej samej w istocie przyczyny: chaosu i klajstru liberalnej „metody“ rządzenia.

Kto był z metody, zainaugurowanej przez poprzedni gabinet, zadowolony? *Naprawdę, nikt.* Ci, którzy o błędności i szkodliwości tej metody byli przekonani — mieli do niej wyraźnie określony stosunek. Nasi zaś, domowego chowu liberali (wolałbym tu używać terminu: ludzie prywaty, wywodzący się w prostej linji od przodków anarchicznej z natury szlachty, bo liberałów typu zachodnio-europejskiego jest u nas w istocie bardzo mało) — także nie byli tą metodą zbudowani, zbyt słabo bowiem reprodukowała tradycje przedmajowe; zbyt była kompromisowa i skażona pierwiastkami „pułkownikowskiemi“.

Przyczyna bankructwa liberalnych politycznie metod rządzenia w Polsce leży jednak głębiej i gdzieindziej jeszcze, aniżeli tylko w naładowanej elektrycznością sytuacji wewnętrznej. *Leży ona w samej naturze polskiej, obcej tej metodzie.*

W naturze polskiej tkwi głęboko potrzeba i wola autorytetu. Wszak nikt nie będzie przeczył, że „banda albeńska“ księcia Panie Kochanku, która do krwi nienawidziła „pana stolnika litewskiego“ i nigdy nie uznała autorytetu królewskiego Stanisława Augusta, z psią uległością i ślepem posłuszeństwem służyła wiernie i karnie autorytetowi Karola Radziwiłła. A to nie były żadne drapichrusty czy przekupna tylko szlachta; to byli, owszem, najcnotliwsi obywatele, katońskie Tadeusze Rejtany, trzon konfederacji barskiej. Przysłowiowa anarchja szlachty polskiej była swoistego gatunku: *ona uprawiała kult autorytetu od dołu.*

Dajmy jednak pokój historycznym wspomnieniom, wskażmy na przykładach te cechy polskiej natury w społeczeństwie współczesnem. Nic tu się właściwie nie zmieniło.

W związku z kwietniowemi wydarzeniami we Lwowie, pewien zespół pod przewodnictwem znakomitego i zasłużonego obywatela, postanowił urządzić manifestację miejscowego społeczeństwa. Wybrano arcydemokratycznie komisję, która przygotowała, uzgodniła i uchwaliła tezy referatu i rezolucyj tej manifestacji. Na szerszem zebraniu obywatelskiem, któremu te tezy miano zaprezentować, szanowny przewodniczący w zagajeniu grzmiał na „tyranizowanie“ i bagatelizowanie społeczeństwa „od góry“. Gdy jednak przyszło do wyłuszczenia uchwalonych komisyjnie tez referatu i rezolucyj, ku ogólnemu zdumieniu przewodniczący przedstawił osobiście własną i prywatną, całkiem różną koncepcję od tej, którą „naród“ „demokratycznie“ przyjął. A zatem: „tyranja“, autorytatywizm „od dołu“. Demokracja i społeczeństwo zgubiły się poprostu między jednem zebraniem a drugiem.

Inny przykład. Inny zespół obywateli lwowskich ma dokonać ważnego aktu, ma podjąć niezwykle odpowiedzialną decyzję w sprawach miasta. I znowu ta sama historja: tej samej rasy „liberał“ i „demokrata“, żarliwy obrońca „woli ludu“, w mojżeszowem oburzeniu rozdziera szaty nad metodą „narzucania“ decyzyj „zgóry“, które się społeczeństwu już „przejadło“ i t. d.... Notabene, w danym przypadku o żadnem „narzucaniu“ „zgóry“ wogóle nikt nie wiedział, przecież żyliśmy właśnie w okresie metody liberalnej. W praktyce narzucono owemu zespołowi obywatelskiemu rzeczywiście decyzję, ale „od dołu“, powziętą na jakimś tajnym konwentyklu... Znowu demokracja i społeczeństwo sczezły gdzieś po drodze, bo psychika polska przywiązana jest do autorytetu choćby poczętego przy kuflu piwa.

Ta metoda autorytatywizmu „od dołu“, w skali ogólnopaństwowej, rozpoczęta została zresztą o wiele wcześniej, bo już przy realizowaniu obecnej ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych. Na zebraniu grup konstytucyjnych poprzedniego Sejmu w początkach maja ub. roku, na którem ówczesny premjer pułk. Sławek przedstawił zasady nowej ordynacji wyborczej i wezwał obecnych do zajęcia stanowiska wobec zgłoszonego projektu, wyraziłem przekonanie, że *ta* ordynacja może dać pozytywne rezultaty *tylko* pod warunkiem zastosowania metody autorytatywnej „z góry“. Co tu owijać w bawełnę: poprostu nominacja kandydatów poselskich „z góry“. Nie będzie ona „demokratyczną“ i „liberalną“, ale napewne da zespół parlamentarny lepiej rzeczowo do pracy w Izbach przygotowany, aniżeli nominaci z „dołu“. W praktyce, jak wiadomo, zastosowano zasadę „autorytetu od dołu“, ze skutkiem, nie pozostawiającym już dzisiaj po doświadczeniach kilkumiesięcznych, większych wątpliwości.

Do największych osiągnięć politycznych Marsz. Piłsudskiego i jego rządów należy przecież *przeniesienie źródła autorytetu, zmiana punktu wyjścia w działaniu metody autorytatywnej, typowej dla polskiego życia politycznego: od dołu na górę.* Próbowały tej zmiany zawsze dokonywać w naszych dziejach wszystkie wielkie indywidualności na tronach królewskich czy na krzesłach kanclerskich: zawsze ze skutkiem przejściowym. Autorytet anarchicznego i mafijnego dołu zawsze w końcu zwyciężał. Marsz. Piłsudski podjął tę próbę na nowo, a dzieło jego wydaje się tem trwalsze, niż jakiekolwiek poprzednie próby w naszych dziejach, że zostało prawnie zabezpieczone w głównej ustawie państwowej i że w odrodzonem Państwie istnieją nieskończenie lepsze, aniżeli w Polsce szlacheckiej, objektywne warunki dla stosowania autorytatywnej metody rządzenia (wyższa i powszechniejsza ogólna kultura narodu, wyższy stopień świadomości niebezpieczeństw, wynikających z położenia geopolitycznego i t. d.).

Jeśli dla natury polskiej właściwą i typową jest metoda autorytatywna, to w Państwie własnem nie może być żadnej wątpliwości, gdzie ma być inicjatywa i jaki ma być kierunek tej metody: zawsze od góry, nigdy *od dołu.* Metoda autorytatywna, *stosowana* przez Państwo (choćby niejednokrotnie błędnie) i jego organy, jest jedyną właściwą, słuszną i sprawiedliwą metodą rządzenia. To metoda, której odpowiedzialność jest jasno, wyraźnie i objektywnie określona. Metoda autorytatywna, stosowana przez najcnotliwszego choćby obywatela, częściej wszakże przez mafję czy nowoczesnych „albeńczyków“ konfederackich — to jest metoda nieodpowiedzialna, to jest metoda pokutującego w nas ciągle atawistycznie prywatnego anarchisty lub, co gorzej, prywatnego geszefciarza.

Gen. Składkowski, jako premjer i gen. Rydz-Śmigły wkraczający czynnie, aby kształtować formy życia politycznego w Polsce — to bezwątpienia symbol *istotnej* zmiany metody rządzenia, to symbol powrotu do autorytatywnego systemu rządzenia „z góry“.

Ale enuncjacje gen. Rydza-Śmigłego na Zjeździe legjonowym — to jeszcze coś innego i coś więcej. To zapowiedź działania idei, zdolnej pod swym sztandarem skupić *wszystkie* twórcze siły narodu polskiego. To zapowiedź zatem organizacji społeczeństwa dla realizowania tej idei.

Po śmierci marsz. Piłsudskiego, po uchwaleniu nowej konstytucji i po rozwiązaniu — w ślad za tą uchwałą — Bloku Bezpartyjnego, nie było głośniejszego i powszechniejszego wołania w Polsce, jak właśnie o ideę kierowniczą Państwa i o nową organizację społeczeństwa.

Gdy gabinet min. Kościałkowskiego i Kwiatkowskiego zamiast idei kierowniczej, zdolnej zapalić wyobraźnię mas, wysunął postulat zrównoważenia budżetu i walki z kryzysem; gdy po rozwiązaniu Bloku społeczeństwo rozparcelować się miało na komórki pracy w samorządach czy, co najwyżej, w komitetach porozumiewawczych organizacyj społecznych — to, rzecz prosta, powstała pustka, w której, jak słusznie ktoś napisał, „tłamsimy i kwasimy“ się od roku. Ani bowiem hasło zrównoważenia budżetu, ani „praca“ w radach miejskich i t. p., nie jest w możności zastąpić mitu społecznego, przemienić potencjał energji mas w żywioł.

Półroczne fatalne doświadczenia w tej dziedzinie, również kazały zerwać z dotychczasową zdumiewającą biernością i podjąć inicjatywy, zdolne w wytworzoną najlekkomyślniej próżnię wlać treść żywą i sugestywną. Pora po temu najwyższa. Gdy „natura horret vacuum“ — cóż w tej próżni poczęło pełzać? Podobnie, jak pod wpływem liberalnych metod rządzenia, tak samo i w dziedzinie organizacji społeczeństwa tragiczna obojętność i leseferyzm „góry“, prawem reakcji wyzwolił inicjatywy oddolne, które wytworzyły chaos bezprzykładny. Ale w tym chaosie coraz plastyczniej poczęły się rysować jakże dobrze znajome kontury rzeczywistej „linji podziału“: nad powrotną, zwichrzoną, zrazu lękliwą, później coraz zuchwalszą, falą partyjnictwa, górę poczęły brać dwa typy okopów, poza któremi oszańcowywać poczęły się puszczone luzem siły społeczne: recepujący mechanicznie światopogląd hitleryzmu „nacjonalizm“ radykalny, ozdobiony nadto białożółtą kokardką obcego mocarstwa i niemniej ślepo kopjujący i wsłuchany w zalecenia Kominternu społeczny radykalizm z prawem odchyleniem ku przejściowym „Frontom Ludowym“ (pakt nieagresji PPS z komunizmem!) i z lewemi tendencjami „unjonistycznemi“ (Zjazd bolszewickich literatów we Lwowie). I tak, jak nasi anarcholiberałowie stosując w praktyce autorytatywizm od dołu, gubią po drodze demokrację i „wolę ludu“, tak nasi radykali nacjonalistyczni i społeczni topią w rzeczywistości swoją polskość w Sprewie czy w Newie, a niektórzy z nich, z niebywałą bezceremonjalnością i szczerością przywdziewają papachy obcych agentów.

I tej wezbranej fali spuszczonych z wędzidła ekstremizmów przypatrywało się dotychczas z wcale stoickim spokojem Państwo, uważając zapewne, że to jest może najprostsza droga, prowadząca do „kontaktów ze społeczeństwem“...

Ta smutna zabawa „wolnego“ społeczeństwa i ten niepojęty kurs desinteressement góry wobec rozhasanej kiereńszczyzny — zostają obecnie przerwane. Państwo wraca po roku do roli aktywnej i organizującej ideę kierowniczą całego narodu.

Ideą kierowniczą przez lat dziewięć od przewrotu majowego, była urzeczywistniona w kwietniu ub. r. idea przebudowy politycznego ustroju Polski.

Ideą kierowniczą, która skupić ma obecnie cały naród w twórczym wysiłku, to idea obrony Polski, proklamowana przez Wodza Naczelnego.

Sceptycyzm, usprawiedliwiony inflacją polskiej hasłomanji może zaraz wysunąć wątpliwości: czy nie jest to hasło zbyt samo przez się zrozumiałe, pozbawione sugestywnie sprecyzowanego nowatorstwa, czy nie uderza ono swojem defenzywnem sformułowaniem?

Na to odpowiadamy: żywa wartość i znaczenie idei zależy przedewszystkiem od tego, *kto* je wysuwa, *kto* obejmuje kierownictwo nad wysiłkiem, tę ideę realizującym. Jeśli zaś idzie o barwę i treść aktualną wysuniętego hasła, to uważamy, że w obliczu możliwości istniejących, zdolnych gwarantować maximum realizmu idei, konsolidującej i organizującej *cały* naród —to hasło, rzucone przez Naczelnego Wodza jest hasłem w danych warunkach najsłuszniejszem, najżywszem, najgłębiej i najtrafniej wyczutem.

Zresztą gen. Rydz-Śmigły sam świetnie rozumiał niebezpieczeństwo ogólnikowości i frazeologji hasła Obrony Polski, gdyż natychmiast po wysunięciu go, dodał:

> „Hasła tego nie należy pojmować w sposób jednostronny i zwężony... Nie chodzi tu o finanse tylko, chodzi o ujęcie tego programu szerzej. **Jestem głęboko przekonany, że w tym programie wszystko się znajdzie, że się znajdzie droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, że znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba“.**

Ta glossa, komentująca dwa wielkie słowa: Obrona Polski — stwarza olbrzymie możliwości realizacyjne. A wszak człowiek, który ją wypowiedział, nie rzucał tych słów na wiatr. Wszak program tej

(ciąg dalszy artykułu na str. 2-giej).

przegląd polityczny

Dziesięciolecie Prezydenta Ignacego Mościckiego.

W dniu 3 czerwca myśl społeczeństwa skupi się dokoła osoby Prezydenta Mościckiego, na którym od lat dziesięciu „spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historji za losy Państwa".

Okres dziesięcioletni w epoce budowy nowego Państwa Polskiego — to okres bezprzykładnie wielkiej odpowiedzialności dziejowej. Pod względem stopnia tej odpowiedzialności żaden z narodów i żaden ze zwierzchników państw, cieszących się nieprzerwanym bytem niepodległym — nie może się równać z Polską i jej konstytucyjnym naczelnikiem. Wszystko, co zwierzchnicy tamtych państw zastają gotowe i jeno zabezpieczają i wzmacniają swoim autorytetem — dla Głowy Rzeczypospolitej naszej jest ciągle jeszcze twórczością pionierską, zakładaniem fundamentów pod nową tradycję.

Było błogosławieństwem dziesięcioletniej kadencji Prezydenta Mościckiego, pełnionej w ramach starej, antyautorytatywnej konstytucji, że stojąc na czele Państwa znajdował oparcie i natchnienie w Twórcy nowej Rzeczypospolitej. Jest szczęściem od roku, że po śmierci Marsz. Piłsudskiego, Prez. Mościcki, budowany dawniej via facti autorytet, opierać może nietylko na swoich znakomitych cnotach osobistych, ale także na prawie, dającem mu wyjątkowo rozległe uprawnienia. Wszak „w jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa".

Dziesięć lat prezydentury Ignacego Mościckiego, to okres wypełniony wielką ofiarnością, głębokiem poczuciem odpowiedzialności, szlachetnym umiarem i wysokiem umiłowaniem Polski. Te bezsporne cechy umysłu i serca prof. Mościckiego uznaje dziś każdy Polak i wszyscy prawi obywatele Rzeczypospolitej. I dlatego w dniu dziesiątej rocznicy jego rządów, nietylko myśli, ale i wszystkie serca polskie znajdują się przy tym, którego „obowiązkiem naczelnym jest troska o dobro Państwa, gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata".

(Dokończenie art. ze str. 1)

idei dziś naczelnej — będzie realizowany. Wszak idea Obrony Polski — to w praktyce, na pierwszem miejscu, idea związania mas, całego narodu polskiego z ideą Państwa. *A tych mas* — któż o tem dziś nie wie — nie zwiąże się bez głębokich reform, do samych podstaw ustroju społeczno gospodarczego sięgających, bez realizacji idei sprawiedliwości społecznej. Sprawiedliwości społecznej jednak Państwa Polskiego i w Państwie Polskiem — a nie sprawiedliwości społecznej satelity polskiego w systemie niepolskim, z zewnątrz narzuconym.

Postawienie przez Rydza-Śmigłego na froncie życia polskiego kierowniczej idei naczelnej — pozostaje, rzecz jasna, w najściślejszym związku ze zmianą metody rządzenia, z nawrotem do rządów autorytatywnych. Bez nich „Obrona Polski" byłaby frazesem okrągłym, fikcją, koncepcją nierealną.

Skutkiem zaś bezpośrednim zmian politycznych dokonanych w Polsce ostatnio — winien być montaż wielkiego i jedynego ideowego obozu społeczeństwa, kierowanego przez autorytet Państwa, przez autorytet Wodza Naczelnego, obozu, realizującego naczelną ideę Obrony Polski w sposób zupełny: zarówno na froncie przygotowania bojowego, technicznego, gospodarczego — jak i na froncie rzeczywistej nowej budowy społecznej, jedynie zdolnej odrodzić moralnie i aktywnie z Państwem związać cały naród polski, czyniąc go podmiotem twórczym własnych dziejów. **Stefan Mękarski.**

Gen. Rydz-Śmigły i legjoniści.

W enunciacjach gen. Rydza-Śmigłego podczas Zjazdu legjonowego znalazły się tak wyjątkowo znamienne ustępy o legjonistach i o stosunku Gen. Inspektora Sił Zbrojnych do legjonistów — że należy je dobrze zapamiętać:

„Albo macie zaufanie do kierownictwa i, jak powiedziałem, chcecie przyłożyć swoją dłoń do ciągnienia Polski, albo nie. (Głosy: „chcemy")... Jesteście mi bliscy, chcę z wami być, ale wierzcie mi, że ani na chwilę nie odstąpię na centymetr od tej linji, którą uważam na podstawie swego przeświadczenia jako linję dobrą, nawet gdyby mnie to miało pozbawić waszej sympatji (głosy: „nie, nie"). Zechciejcie wyciągnąć z tego konsekwencje. Żadnej demagogji, bo demagogja jest szkodliwa... żadnych fanaberyj ani fantazyj. Powiedziałem, że trzeba zacząć surowe życie — albo poddajecie się, chcecie iść, albo nie idziecie. Trzeba jasno i otwarcie postawić sprawę — nikogo nie będzie się zmuszało: jeśli ktoś uważa, że ma swój warsztacik lepszy, jeśli ktoś uważa, że jedynie on jest rozsądny, jedynie on kocha Polskę, inni jej nie kochają, ten może odejść od nas. Ale jeśli nie potraficie karnie, bez zastrzeżeń, z wyrzeczeniem się osobistych fantazyj, a tembardziej osobistych perspektyw pracować w wspomnianym przezemnie kierunku, w takim razie należy sobie powiedzieć: jesteśmy żołnierzami, którzy walczyli o niepodległość Polski, to jest nasz zaszczyt, nasz dawny tytuł do sławy, lecz Polsce dzisiejszej nie mamy nic do powiedzenia, niech inni w niej przewodzą (głosy: „nie")".

Jeśli do powyższych wywodów gen. Rydza-Śmigłego dodamy uwagi premjera gen. Składkowskiego, wypowiedziane nazajutrz po objęciu szefostwa Rządu do członków Koła 5 p. p. legjonów o „braku zgody wśród nas, chęci krytykowania wszystkich" — to uzyskamy dostatecznie wyraźny obraz oceny znaczenia i roli Związku Legjonistów w współczesnem życiu Polski, oceny, dokonanej przez czołowych kierowników obozu legjonowego.

Głosy, które padały z audytorjum podczas przemówienia Gen. Inspektora Sił Zbrojnych — to głosy na scenie. Czyż mogły być inne? Czy rozebrzmią jednak również w codziennem bytowaniu, czy przerodzą się w czynną postawę i staną się treścią i dekalogiem nowego, tego „surowego życia", o którem mówił Gen. Rydz-Śmigły?" Zobaczymy.

Gen. Rydz-Śmigły i społeczeństwo.

Powyższe cytaty z mowy Gen. Inspektora Sił Zbrojnych bardzo wyraźnie odsłaniają jego bardzo daleko idący sceptycyzm co do możliwości opierania budowy społecznej siły jutrzejszej potężnej Polski — wyłącznie tylko na elemencie legjonowym. Musimy „w sposób zorganizowany (podkr. Red.) pracować dla Polski" — mówił Gen. Rydz-Śmigły, a

„gdybyśmy uważali, że Polska może liczyć tylko na nas, mając trzydzieści kilka miljonów obywateli, to **świadczyłoby to tragicznie o Polsce** (podkr. Red.)... Obok was muszą stanąć inni i wy musicie starać się o to, aby obok was stanęli wszyscy ci, którzy mają poczucie siły i chcą tę siłę oddać w rzetelną służbę Polski, Ojczyźnie, czy Państwu, jak kto woli... Chodzi o to, ażeby jak najwięcej ludzi chwyciło za ten łańcuch... aby Polskę podciągnąć wyżej".

Gen. Rydz-Śmigły jest zbyt wielkim autorytetem w Państwie, reprezentuje troskę o najwyższe dobro Rzplitej — i dlatego dziwacznie i demagogicznie wychodzą te komentarze opozycji partyjnej, które mają pretensję do Gen. Inspektora Sił Zbrojnych, że nie sprecyzował szczegółowo swoich społecznych czy gospodarczych poglądów, po których linji rozwijać się winna wewnętrzna sytuacja Polski. Nie mniej błędnie wyglądają te sugestje innych organów prasowych, które w poszczególnych zwrotach werbalnych gen. Rydza-Śmigłego radeby odkryć ofertę pod adresem tej czy innej partji politycznej. Gen. Inspektor armji jest tym autorytetem w Państwie, który ma prawo i obowiązek przemawiać do całego narodu polskiego i cały naród wzywać i rozkazywać mu, aby rozbieganą po manowcach i zaułkach personalno-klikowo-partyjnych energję, przetopił w jeden państwowy (nie ludowy, nie „narodowy", nie proletarjacki i nie jasnogórski) front „rzetelnej służby Polsce".

Gen. Rydz-Śmigły świadom w pełni swojej najwyższej odpowiedzialności, rozrywa odważnie ów nietykalny dotychczas łańcuszek ekskluzywizmu najbliższej grupy swoich przyjaciół, niemniej odważnie kwalifikuje zamknięty zespół, który wywiesił na swojem podwórku etykietkę „Polaków I. klasy". Kuje natomiast pierwsze ogniwo nowego potężnego łańcucha, za który chwycić mają wszyscy, „którzy mają poczucie siły i chcą tę siłę oddać w rzetelną służbę Polsce". Tę tylko „Obronę Polski", podjętą i realizowaną przez cały naród polski widzi, jako ideę naczelną i jedynie trafną. Od tej idei „nie odstąpi na centymetr", choćby taka postawa miała go pozbawić sympatji „Związku Legjonistów".

Jeśli temu rozkazowi, jeśli tej idei Naczelnego Wodza, odpowiedzialnego za siłę Polski, nie odda się w służbę społeczeństwo — to komuż się podda i odda, kogo będzie słuchało i z kim będzie maszerowało?...

Literatura tendencyjna

Tem co różni literaturę od dziennikarstwa jest nietylko odmienny aparat środków wypowiadania się. Operowanie schematami logicznemi, djalektyką, rozumowymi argumentami — jest to niewątpliwie główna i wyłączna niemal broń dziennikarza. Nie zawsze jednak ta właśnie broń, ten sposób wypowiadania się świadczy o przynależności danego utworu do działu utworów dziennikarskich. Djalogi Platona dają tej prawdzie należyte świadectwo.

Muszą więc istnieć jakieś inne kryterja, odróżniające dziennikarstwo od literatury. Kryterjów tych jest wiele. Nie będę tutaj ich wyliczał, gdyż chodzi mi o rzecz całkiem szczególną i określoną — chodzi mi o sprawę tendencji w literaturze.

Sztuka tendencyjna, sztuka walcząca, „sztuka na usługach idei" — te pozorne synonimy i problemy związane z niemi, są od szeregu lat omawiane bardzo gorąco przez młodą prasę literacką. Usiłuje się w tych dyskusjach znaleźć wyjście nietylko ze ślepego kąta współczesnych problemów czysto literackich ale i wyrozumować, wymyśleć a nawet i wychytrzyć — jeżeli inaczej nie można odpowiedni dla danej grupy czy dla danego kierunku myślenia sposób ustosunkowania się do zasadniczych kwestyj politycznych i społecznych. Sztuka tendencyjna, sztuka walcząca, sztuka na usługach idei. Wzniosłe, porywające słowa. **Potrzeba służenia czemuś,** potrzeba walki — to są te cechy ludzkiego charakteru, które zwykło cenić się wysoko. Każdy pisarz, jeżeli jest nim naprawdę, ma przecież swój świat myśli i uczuć, swoje pragnienia i tęsknoty, któremi chciałby zarazić czytelników. Te myśli i uczucia, ich jakość, gatunek i rodzaj świadczą właśnie o pisarzu. Jego wypowiedzi — to przecież tylko nikła cząstka tego, co jest on w stanie z siebie innym udzielić. Wypowiedzieć jaknajwięcej z tego, co ma się do powiedzenia i co chce się wypowiedzieć, i wypowiedzieć jak najlepiej, jaknajpełniej i najdoskonalej — to jest właśnie przedmiot najżywszej troski pisarza Nikt nie czeka, aby go do tego zachęcano, nikt w tej pracy nie potrzebuje dumpingu. Ma się taki lub inny świat wewnętrzny i chce się go w odpowiedniej formie wyrazić. Jeżeli wypowiedź jest udana — powstaje dzieło sztuki. — Co więcej? Czego jeszcze można chcieć i domagać się od pisarza?

Mojem zdaniem, wcale nie skromnem, niczego. Rola czytającej publiczności czy krytyków musi się ograniczyć do przyjęcia lub nieprzyjęcia do wiadomości faktu, który zaistniał.

W naszych jednak czasach, w czasach wielkiego zróżniczkowania produkcji artystycznej i wielkiego zróżniczkowania gustów czytającej publiczności, konieczne jest porozumiewanie się producenta z konsumentem. I ono odbywa się nieustannie z pomocą publicystów i krytyków literackich. Ludzie są ciekawi, są zainteresowani w tem, aby pisarz zajął się tą czy tamtą dziedziną życia. Pewnym grupom społecznym, chcącym mieć literaturę, którąby ich ciekawiła, którąby im — z pomocą obserwacji **pisarza** — pozwoliła dostrzec rzeczy, o których wie się tylko ze słyszenia lub z dzienników — tym grupom społecznym, czy też tym ludziom, którzy je wyrażają, zależy na tem, aby pisarze zajmowali się określonym odcinkiem życia lub określonemi problemami. Przed paru laty Ignacy Matuszewski w warszawskim związku literatów wygłosił odczyt, w którym wskazywał pisarzom na konieczność zajęcia się nową rzeczywistością w nowej Polsce; w jakiś czas potem Adam Skwarczyński ogłosił w „Pionie" szereg artykułów na podobny temat. Równocześnie (od wielu lat?) literacka prasa „proletarjacka" nawołuje i nawołuje do tworzenia literatury o charakterze klasowym.

Czy żądania te są słuszne? Oczywiście! o ile tylko intencje żądających są uczciwe, o ile odpowiadają istotnym zapotrzebowaniom społecznym. Bo wszystkie te żądania — z uwzględnieniem powyższego zastrzeżenia — są niczem innem, jak **społecznem zamówieniem.** O ile pisarze zechcą je wykonać — mogą liczyć na poparcie czytelników. Żądania te mówią im to zgóry.

Zamówienia te jednak, aby mogły być wogóle wzięte pod uwagę przez pisarzy, muszą być nietylko robione w dobrej wierze, nietylko muszą być uczciwe — odpowiadając istotnym zapotrzebowaniom społecznym — lecz muszą się ograniczać jedynie do wskazania niedostrzeżonych dotychczas przez pisarzy dziedzin życia, muszą mówić o tem **co** pisarz ma wyrazić, muszą wskazywać na **przedmiot,** a nie narzucać pisarzowi sposób, w jaki ma ten przedmiot oświetlać.

Pominąwszy więc dość ważną, jak sądzę, okoliczność, że większość pisarzy w swej pracy wogóle nie liczy się z żadnemi zamówieniami społecznemi, — takby się mniejwięcej przedstawiała sprawa granic, do jakich dojść może publiczność w swych żądaniach pod adresem pisarzy. Jeżeli zaś pisarz, wykonując zamówienie społeczne czy też indywidualne, godzi się nietylko na narzucenie mu tematu (który mu zresztą „leży") ale i na kierunkową, na „punkt widzenia", na tendencję, w jakiej temat ma być opracowany — wtedy powstaje t. zw. literatura tendencyjna, literatura, wyręczająca dziennikarstwo w jego funkcji.

Nie zdziwiło mnie wcale, kiedy przeczytałem, że na akademji, urządzonej ostatnio we Lwowie z okazji „Zjazdu Pracowników Kultury" p. Wanda Wasilewska powiedziała wszem wobec: chcemy tworzyć literaturę tendencyjną, bo ona jest potrzebna. Nie uważamy **tendencji** w sztuce za rzecz szkodliwą.

„Zarzycka, wyspecjalizowana w sprawach społecznych" — jak Wandę Wasilewską nazwał jaknajsłuszniej Czesław Miłosz — jest w zgodzie ze sobą. All right. Wszystko się zgadza. Tylko że człowiek, zakładający zgóry potrzebę tendencji w dziele — przyznaje się temsamem do kłamstwa, które zamierza popełnić. **Każda bowiem sztuka jest sztuką tendencyjną,** każda agituje za wizją pisarza, przemawia za jego światem, każe patrzeć czytelnikowi oczyma pisarza. Nawet „jakieśtakieśdziwne" wiersze Leśmiana uprawiają agitację, gdyż napewno człowiek, który ich przeczytał parę dziesiątków będzie odtąd patrzył na świat inaczej. „Sztuka musi być tendencyjna" — Wanda Wasilewska dała nam tem powiedzeniem autentyczny komentarz do swych książek.

Zakładać tendencję w sztuce — znaczy aprobować kłamstwo, znaczy spełniać przy pomocy kłamstwa tę rolę, którą na czysto i uczciwie może spełniać dziennikarstwo.

Doskonałym przykładem do zilustrowania niniejszych wywodów jest głośna książka Leona Kruczkowskiego „Kordjan i Cham". Książka ta napisana jest z talentem, przekonywująco, inteligentnie. Czytelnikowi, który nie ma obowiązku znać się na historji, i który najczęściej w jej szczegółach zupełnie się nie orjentuje, łatwo jest wszystkie wszystkie fakty, naprowadzone przez autora, przyjąć za dobrą monetę. Nieufność rodzi się dopiero wówczas, gdy dowiemy się przypadkowo, iż z temi faktami, które autor nam opisał coś niezupełnie tego. Zaczynamy być podejrzliwi. Ale ostatecznie, przy pewnej dozie dobroduszności, łatwo jest machnąć na to ręką. Przecież autorowi **wolno wierzyć nawet naprzekór faktom.** Od tego właśnie jest się pisarzem, aby mieć fantazję conajmniej jak niektóry pisarz hipoteczny. Dlatego też, osobiście, kiedy się dowiedziałem paru „niedociągnięciach" historycznych w „Kordjanie i Chamie" nie bardzo mnie to obeszło. Nie potraktowałem tych paru „nieścisłych" epizodów jako kłamstwa historyczne, celowo naprowadzone i szkodliwe. Tem drożej jednak przyszło mi za tę łatwowierność zapłacić. Przeglądając bowiem poraz tam któryś przedmowę autora do książki uświadomiłem sobie, że autor całkiem świadomie i celowo fakty historyczne sfałszował; czytamy w tej przedmowie, że rola autora przy pisaniu książki ograniczała się do komponowania literackiego materjałów historycznych (w szczególności pamiętnika Deczyńskiego); natomiast skądinąd wiadomo nam, że te „materjały historyczne" wyglądają inaczej, aniżeli widzimy to w książce. Więc i tutaj, w tej powieści historyczno-dokumentarnej, tak jak w większości „proletarjackich" powieści współczesnych, mamy do czynienia z chowaniem się autora za rzekome fakty, z rzucaniem odpowiedzialności z siebie na „objektywną rzeczywistość" („ja tylko relacjonuję"!), z reportażową prawdą czyli z fałszem reportażu.

Andrzej Kruczkowski.

Koledzy! Wierzę głęboko w wasz instynkt żołnierski, który nas tylekroć prowadził do zwycięstwa w bardzo ciężkich warunkach i dlatego zwracam się do was: spójrzcie na naszą wschodnią i zachodnią granicę i przeprowadzcie sobie krótkie porównanie między tem co jest u nas, a tem, co za zachodnią i wschodnią granicą. W tem porównaniu nie będę wam mówił o statystyce przemysłu i handlu, o statystykach takich, czy innych, nie będę wam mówił o uzbrojeniu, o bogactwach naturalnych, o innych wielkościach i cyfrach. Chcę tylko na jeden moment zwrócić uwagę, na drogę, na której napewno możemy dorównać naszym sąsiadom. Jest to sprawa zorganizowania kierowanej woli ludzkiej. Porównajmy jak ta sprawa u nas wygląda i jak wygląda u naszych sąsiadów.

Koledzy! Porównanie to niedobrze nam smakuje. Ono ma bolesną gorycz! Czy porównanie to nigdy wam nie spędzało z powiek snu nawet po dniu najtwardziej przepracowanym?

GEN. RYDZ-ŚMIGŁY.

Od kulturalizmu do walki czynnej

Kiedy dziś z perspektywy odbudowanego państwa spoglądamy na epokę poprzedzającą wielką wojnę, kiedy zwłaszcza przyjrzymy się procesowi psychicznemu dokonywującemu się bądź to w społeczeństwie naszem bądź to w jego grupach kierowniczych, — stwierdzimy pewną nagłość przemian zasadniczych, którym uległy dusze, aby zdobyć się na decyzję czynu walki o niepodległość. Sens tych przeobrażeń wewnętrznych odsłaniają nam pamiętniki i wspomnienia przytomnych tamtym czasom ludzi. Lektura zaś takich publikacyj jest dla pokoleń Polski odrodzonej ze wszech miar pouczająca. Zdawałoby się bowiem, że okres 1865—1914 należy już do epoki niemal dyluwialnej, że idee rozpalające do białości dusze ludzkie wygasły, że uciszyły się namiętności serca, że skończyły się walki o koncepcje, doktryny, wcielenia z chwilą, gdy mamy już odbudowane państwo. Niewątpliwie, na wielu zastygłych zjawiskach spoczywa już chłodny wzrok badacza dziejów. Są jednak pewne zagadnienia zarówno poznawczo ciekawe, jak też ze stanowiska obecnej naszej racji stanu **celowe.**

Oto pytania: jak doszło do walki zbrojnej o niepodległość? Czy koncepcja ta była wypadkową zewnętrznych tylko zdarzeń historycznych, czy też stawała się wewnętrzną koniecznością ówczesnych ludzi czynu? Jak w takim razie odbywał się ten proces duchowy, który doprowadził do decyzji czynu? Jak kształtował się typ człowieka walki o niepodległość? Jak rósł żołnierz polski? Te zagadnienia mogą być ujęte na innej płaszczyźnie, a mianowicie, jakim to sposobem ahistoryczna epoka popowstaniowa wydała ludzi, którzy czynnie dali początek epoce historycznej przez wywalczenie niepodległości państwowej? Albo jeszcze inaczej, jak epoka wszechwładnie panującego kulturalizmu stopniowo ulegała przemianom i przerodziła się w epokę walki czynnej?

Z odpowiedzi na te pytania powstają obecnie pamiętniki, dzieła historyczne, ba, nawet dzieła sztuki, by wymienić najpoważniejsze, jak Dąbrowskiej „Noce i dnie". W kręgu tych zagadnień obracają się też wspomnienia **Michała Sokolnickiego** p. t. **„Czternaście lat"** (Warszawa 1936, Instytut Badania Najnowszej Historji Polski, str. 478).

Rozpiętość czasowa tych wspomnień sięga od r. 1899 do r. 1913; obejmuje zatem najciekawszą i najważniejszą dla nas epokę, stanowiącą ostatni etap rozwoju myśli polskiej o walce czynnej. Przypomnijmy sobie kilka faktów o bezspornem znaczeniu. Lata 1897—1899 — to zrazu ostateczne wysilenie ugodowości z zaborcą, szczególnie z Rosją, — to czas owocowania rewizjonizmu pozytywistycznego wobec przeszłości, to czas przyjmowania Mikołaja II w Warszawie i złożenia mu „daru narodowego", to czas odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie i nawrotów imperjalistycznego panslawizmu, to czas wątpliwych sukcesów politycznych Zygmunta Wielopolskiego. Ale też odtąd datuje się gwałtowny spadek linji polityki ugodowej: niema już mowy o realizacji koncepcyj Piltza czy Spasowicza czy innych petersburszczyków, by zespolić interesy Królestwa Polskiego organicznie z interesami i kulturą państwa rosyjskiego. Jeśli narodowa demokracja po swym początkowym szlachetnym porywie niepodległościowym podejmie politykę porozumienia z caratem, to będzie to jednak targ, wprawdzie o program minimalny, ale zawsze o autonomję dla Królestwa Polskiego.

Ale już temu prądowi dmowszczyzny przeciwstawia się od kilku lat prąd inny, polski ruch socjalistyczny, powoli, od r. 1892, odżegnujący się od wpływów wiedeńsko-berlińsko-petersburskiej socjal - demokracji, a stawiający na czele swego programu postulat niepodległości państwa.

W tych też latach rozpoczyna Sokolnicki swoją działalność partyjną, a zarazem obserwacje bystre i uczciwe żywych zjawisk życia politycznego, ruchów społecznych, przemian w fizjognomji kultury polskiej.

Na pytania współczesnego Polaka odpowiedź daje rozumną, pouczającą i pobudzającą. Jego sądy o epoce nie opierały się na dowolnych konstrukcjach doktryn, ale wypływały z bezpośrednich zetknięć z ludźmi. Ludzie bowiem byli nosicielami i realizatorami idej i symbolów. Żywi ludzie i ich czyny uprzytamniają życie idej i dążeń.

Nie jest to wcale przypadkiem, że w skorowidzu książki Sokolnickiego najwięcej odsyłaczy posiadają nazwiska **Piłsudskiego** i **Żeromskiego.** W Piłsudskim i Żeromskim widzi Sokolnicki dwa światy: świat czynu i świat cierpiętniczej poezji; świat twardych musów, nakazów surowej walki, wymagającej ofiar i świat bezradnego poszukiwania dróg, aby tylko odwrócić konieczność użycia siły, a jeśli już jest walka, — to ubolewanie nad jej istnieniem, nad cierpieniem człowieka oraz złocenie tych cierpień poezją. I choć Żeromskiego, wrażliwego artystę, czaruje człowiek woli, decyzji, czynu — Piłsudski — to jednak odruchy humanistyczne są w nim tak silne, że odwróci się od najrealniejszych potrzeb, zamykając się w bezradnem społecznikowaniu i w robótkach kulturalno - oświatowych. Postawiony między Piłsudskim a Żeromskim, Sokolnicki wybiera czyn, walkę, bo „gwałt walki — wolna Polska" (str. 360). Wybór ten manifestował zarazem odwrócenie się od ówczesnej literatury, która — po śmierci Wyspiańskiego — „odeszła od narodowego czynu" (str. 365). Potrafiła wprawdzie wydać — pełne rosyjskich filjacyj — „Dzieje grzechu" lub cierpiętniczą „Różę", nie potrafiła jednak wydobyć z siebie krzyku, któryby był z tego pokolenia.

Z jakimż trafnym uchwytem rysu zasadniczego epoki autor notuje zniecierpliwienie ludzi czynu okazywane w tym czasie literaturze! Na słowa Żeromskiego, że „tylko poezja" ułoży wzgardzonego trupa bojowca za niepodległość ojczyzny „na posłaniu z najpiękniejszych wierszy", — gniewem zapłonie Sławek: „Czyż o to chodzi, aby ponieść nową klęskę, poczem na pociechę poezja miałaby nas wielbić? Nie byłoby stąd żadnej pociechy. Nam chodzi nie o cierpienie i nie o jego piękno. Nam chodzi o zwycięstwo" (str. 344).

W imię tedy kultu siły do zwycięstwa rozpoczyna się w r. 1908 krucjata przeciw supremacji słowa w życiu polskiem. Krzyk Konrada w „Wyzwoleniu" przeciw tyranji poezji nie pozostał bez echa u tych, którzy byli wcieleniem Konradowych dążeń. „Brałem rozbrat z pięknem — stwierdza dokumentarnie Sokolnicki — wyzwalałem się od przerostu uczuciowości właściwego polskiej naturze; zwalczałem nadewszystko słowo — słowo jako źródło wszelkich zasad i doktryn..." (str. 303). „Zwalczałem, — stwierdza dalej — z całą zawziętością słowo jako wykładnik chłodnego i sztywnego rozumu, w którego imieniu tworzą się programy i hasła, formułki, przeszkadzające życiu i działaniu. Wielbiłem siłę jako wykładnik charakteru, jako źródło woli" (str. 304).

Obok walki z przewagą słowa notuje Sokolnicki wystąpienia przeciw „trującemu oddziaływaniu ateizmu i sceptycyzmu, mędrkowania na stosunek umysłów polskich do zdobycia zpowrotem niepodległości dla kraju" (str. 305). „Uważałem — mówi niemożliwościach strejkowych. A był to co dalej — że na każdym kroku przeszkadza istotnym przygotowaniom działania pytanie naokoło: a czy to możliwe? a czy zgodne z powszechną sprawiedliwością? a czy nie sprzeciwia się temu taki a inny paragraf naszych teoryj, a czy Marx i Engels na to pozwolą?" (str. 305).

Jeżeli te słowa przyjmiemy jako dokument epoki, jeżeli będziemy w nich widzieli rozwijanie i wykładanie koncepcyj walki czynnej Piłsudskiego, to na tym choćby przykładzie zrozumiemy, jak wielkiej rewolucji dokonał Piłsudski w umysłowościach i sercach polskich, że, porzuciwszy służbę pięknu i nauce, służbę kulturze, zapragnęły rozkazu do walki i jego wypełnienia. Rozumiano bowiem, że kultura, oświata, robótki społeczne nie wystarczają. „Żyliśmy w okresie — powiada Sokolnicki — kiedy lada wiaterek mógł dzieła całego życia utrącić i zniweczyć, kiedy wszystko zawisło od podstawowego problematu narodowego i państwowego istnienia" (str. 249). I ludzie ci wiedzieli jeszcze jedno, a mianowicie, że hasło kultury i oświaty w tym czasie było zarówno zasłoną dla niektórych elementów ugodowych, jak też parawanem, za który krył się kapitalizm przed wyrzutami sumienia społecznego i narodowego. Obrazek taki, wcale nie w słońcu malowany, daje nam Sokolnicki w swych wspomnieniach. Opisując zebranie towarzyskie u dra Karola Benniego w Warszawie, u którego gromadziła się elita kulturalna i kapitalistyczna Warszawy, autor przedstawia moment, kiedy ktoś z obecnych — po wyczerpaniu wszelkich innych tematów — wspomniał o możliwościach strejkowych. A był to rok 1904. Wówczas „ktoś ze starszych panów tonem niepozbawionym poczucia wyższości uspokoił obecnych, że zaburzenia stłumione będą przez wojsko i strzały. Ze ściśniętem sercem słuchałem tych słów, pamiętając, że to strzelać mają wojska rosyjskie i że przeciwko polskim robotnikom zwrócą się strzały wroga" (str. 104). „W tem zebraniu — dodaje Sokolnicki — panowała jeszcze w całej pełni reakcja społeczna, jaką rozwój kapitalistyczny Królestwa przesycił umysły pozytywistów warszawskich; panował także znany mi tak dobrze realizm popowstańczy. Nie było w tych ludziach mocy i instynktu zmiany, z jakim my, młodzi, wchodziliśmy w tym czasie w świat" (str. 105).

Tak to niewola sprzyjała wytwarzaniu się ahistorycznego kulturalizmu w Polsce. Był on — przeciwnik siły i walki z wrogiem — tym czynnikiem, który w ład szedł zaborcy, poprzedzając niejednokrotnie jego zamysły. Faktem jednak pozostanie, że, wszczęta przez Piłsudskiego walka o niepodległość Polski, była zarazem wyzwoleniem historycznych dążności i wszystkiej siły woli człowieka, który historję miał zmuszać do posłuszeństwa. Była zarazem walką z kulturalizmem typu racjonalistycznego w filozofji, a społecznie opartego na warstwie posiadającej i konsumującej. Czyn orężny przezwyciężył bezwład kultury bezpaństwowej, ahistorycznej, stworzył kulturę historyczną, wywalczając najrealniejsze jej podłoże: p a ń s t w o n i e p o d l e g ł e.

Stefan Kawyn.

Nowy kurs „polityki literackiej" w Z.S.R.R.

Czytelnik, wyłapujący z olbrzymiej produkcji literackiej w Z. S. R. R. jakiś utwór czy ten lub ów artykuł krytyczny, — staje najczęściej wobec zjawiska, którego istoty nie może dociec. Ma przed sobą odcinek, lecz nie obejmuje całości. Z trudem orjentuje się w bardzo terytorjalnej treści a już docna gubi się w zawiłych teoretycznych sporach i hałasach, które nas mimo zatrzaśniętych drzwi dochodzą. Ileż to polemicznego kurzu wzbijano dookoła dyskusji, kto jest pisarzem proletarjackim a kto na tę rangę nie zasługuje?

A dzisiaj? Doszukiwać się pierwiastków proletarjackich w twórczości nowych pisarzy sowieckich byłoby nie tylko anachronizmem, lecz wręcz ze stanowiska krytyki oficjalnej „szkodnictwem". Cóż więc zaszło? Klucz do zrozumienia obecnej sytuacji w polityce literackiej w Z. S. R. R. daje ostatni zjazd pisarzy sowieckich, który odbył się w Mińsku w dniach od 12 do 16 lutego.

Nawiasem trzeba wyjaśnić (bo może i to niejasne) — dlaczego akurat zjazd? Otóż, jak wiadomo, literatura i sztuka stanowią w Z. S. R. R. celowe i pożyteczne narzędzie, przydatne w sposób rozumny politycznym i gospodarczym zamierzeniom rządu. Ma więc literatura specyficzny pedagogiczny charakter. Właśnie, dwojakiej natury. Z jednej strony wychowuje masy w duchu dla rządu pożądanym, celowości czego niepodobna negować; z drugiej — sama (zwłaszcza w swoich kadrach młodocianych) musi być przez rząd kierowana. Ostatnie odbywa się na łamach grubych perjodyków (Litieraturnyj kritik, Lit. Sowriemiennik i t. d.) oraz na oficjalnych Zjazdach. Zgromadzenie takie, zazwyczaj dość efektownie organizowane, częściowo tylko jest rodzajem parlamentu pisarskiego o swobodnej wymianie myśli; literaci dyskutują sprawy rzemiosła, informują się wzajemnie o stanie prac i t. d. W znacznej jednak części Zjazd staje się jakgdyby gigantofonem, za którego pomocą rząd rozrzuca po całem terytorjum Z. S. R. R. najnowsze swoje dyrektywy, dotyczące roli pisarza.

Pierwszy głośny Zjazd Pisarzy Sowieckich m. in. rozstrzygnął spór między reportażem a powieścią na rzecz prozy, jako rodzaju „realizmu socjalistycznego" i rzucił hasło „sowieckiego humanizmu". Na czoło poetów został ustami Bucharina wysunięty Borys Pasternak, natomiast Majakowskiego przekreślono jako „etap przezwyciężony". Znaczenie tych rozstrzygnięć mierzy się drogą — od sprawozdania do tworzenia, od agitki do wnikliwości psychologicznej.

Ostatni (trzeci zkolei) Zjazd Pisarzy Sowieckich w Mińsku przyniósł dalsze zmiany. Z punktu widzenia dotychczasowej polityki wprost rewelacyjne.

Przedewszystkiem, zdumiewa zarządzony odwrót od klasowości w literaturze; pojęciem „proletarjackości" przestano szafować. Przerzucając sprawozdania w sowieckiej „Gazecie literackiej", stenogramy przemówień — nie znajdziemy bodaj ani wyrazów takich jak „proletarjat" i „proletarjacki". Klasa i marxizm, klasowość i proletarjackość — terminy te poprostu wyszły z polemicznego obiegu, a nawet są niemile widziane przez oficjalną krytykę jako rzekomo nie odpowiadające rzeczywistości sowieckiej na obecnym szczeblu rozwoju. A pamiętamy jakie strapienia przyczyniały krytykom marxistowskim te groźne terminy.

W tem miejscu przypomina się dawny spór Trockiego z niektórymi marxistami. Mianowicie, Trocki twierdzi, że pojęcie „literatury proletarjackiej" jest fantazyjne; niepodobna mówić o lit. prolet. tak, jak mówimy o literaturze szlacheckiej czy burżuazyjnej. Tamte bowiem rodzaje miały dłuższe okresy czasu do swego powstania, w danym zaś wypadku, t. j. w chwili przejściowej (dyktatury proletarjatu) nie może ugruntować się literatura o określonym charakterze. Na to opowiedzieli oponenci, że okres przejściowy (dyktatury proletarjatu) napewno będzie trwał dłużej, aniżeli to sobie każdy wyobraża, i że w tych właśnie granicach kilkudziesięciu lat napewno powstanie literatura proletarjacka. Dziś jednak stoimy wobec wyraźnego bankructwa powyższej teorji.

Na miejsce zwalonego boga (proletarjat!) omawiany Zjazd wysunął nowe pojęcie: lud! Jako hasło odtąd najsurowiej obowiązujące, zabrzmiało żądanie ludowości i prostoty w sztuce sowieckiej. Oficjalna „Gazeta literacka" (nr. 11) oświadcza: „Żądanie prostoty i ludowości — jest to podstawowe żądanie, z jakiem zwracamy się do naszych poetów. Żądamy tej ludowości, jaka wynika z organicznej łączności pisarza z rzeczywistością, ze znajomości myśli i uczuć ludu, z ciągłego korzystania ze skarbów żywej ludowej mowy i folkloru". Brzmi to nieomal w stylu Konopnickiej. Tegoż samego pojęcia (lud) używa się we wszelkich enuncjacjach innego rodzaju i wynurzeniach prasy sowieckiej. Nr. 2 miesięcznika „Litieraturnyj Kritik" omawia ruch stachanowski, więc inicjowany przez świadomy proletarjat, pod jakże wymownym tytułem „Wielki ruch ludowy".

Znawcę dawnej literatury rosyjskiej uderzy w tych nowych terminach sowieckich i zmianie polityki literackiej coś dobrze znanego. „Narod, narodnost". — Toż dawne spory — od Turgieniewa do Gorkiego — wracają pod nową formą! Dawne a przecież podstawowe. Przypomina się w tem miejscu powiedzenie Brücknera, że mużyctwo jest podstawą Rosji i każda literatura musi się z chłopem liczyć. Więc pański idealizm Turgieniewa i Niekrasowa, literatura „raznoczyńców", rewolucjonizm Czernyszewskiego i Dobroljubowa, materjalizm „zoologiczny" Gleba Uspienskiego, nawet „niesprzeciwiania się" Tołstoja — wszystkie te kierunki obracały się tak czy owak dookoła sprawy ludowej. Problem ten siłą rzeczy stanął przed rządem sowieckim; zerwano z utopją, nawiązano z rzeczywistością.

Bystry obserwator rzeczywistości sowieckiej, A. Rosenberg w swojej książce „Historja bolszewizmu" wykrywa kiełki dawnego „narodniczestwa" rosyjskiego w polityce agrarnej Stalina. Kładzie również szczególny nacisk na wagę elementu chłopskiego w życiu Z. S. R. R. i przestrzega przed możliwemi a wynikającemi z takiego stanu rzeczy konsekwencjami.

Obecnie realizowane hasło „frontem do ludu" znamionuje niewątpliwie oportunistyczne liczenie się z rzeczywistością. W danych warunkach nie oznacza triumfu społeczeństwa bezklasowego, ale orjentuje literaturę na szerokie masy. Nie na szczupły procentowo w Rosji (nawet po rewolucji) proletarjat fabryczny, lecz przedewszystkiem na szerokie rzesze obudzonego i powołanego do życia chłopstwa. Kierownikom polityki sowieckiej chodzi o to, by literatura stała się językiem wszystkich obywateli Z. S. R. R., aby objęła masę najliczniejszą, chłopstwo. W tym celu musi być związana z ludowością, z folklorem i musi być dostępna dla ludu, więc zrozumiała, prosta.

W tym duchu zagaili Zjazd przewodniczący Republiki Białoruskiej oraz poeta A. Surkow. W tym też sensie przemówiła „Gazeta literacka". Inni literaci, którzy przewinęli się przez mównicę, dorzucali jedynie to i owo, bądź rozwijali poszczególne tezy.

Pisarz Szczerbakow, stwierdzając, że ruch stachanowski odegrał poważną rolę w zanikaniu przeciwieństw pomiędzy miastem a wsią, praca umysłową a fizyczną — zaproponował opisywanie stachanowca jako nowej socjalistycznej osobowości.

Poeta Kirsanow kładł nacisk na stosowanie metod stachanowskich w poezji, a to przez „spojrzenie na świat socjalistycznemi oczyma".

Poeta Żarow formułuje nowe zadania poezji, które powinny polegać na kształtowaniu nowej etyki i nowej estetyki socjalistycznych ludzi.

Pisarz S. Szczupak woła o „syntetyzowanie epoki", więc o przejście do epiki i form monumentalnych.

Prozaik i teoretyk K. Zieliński, stawia postulat tworzenia nowych typów literackich, „Sowieckich Bohaterów", zapomocą stosowania hiperboli.

Zupełną niespodzianką była rehabilitacja Majakowskiego z poręki Stalina. Natomiast Pasternaka zdegradowano z życzeniem, aby zrewidował „filozoficzne podstawy swojej twórczości". Okoliczności tej towarzyszyła walka z formalizmem i awangardyzmem, przeniesiona później na łamy „Prawdy" i na forum dyskusyj literackich. w Moskwie. Tu już Pasternak nie wytrzymał huśtawki i mocno się z oficjalną krytyką poróżnił.

Ale te sprawy, napozór drobniejszej natury, wykraczają poza nasz temat.

Grzegorz Timofiejew.

sztuka

Rozstrzygnięcie konkursu na wiersz o radjo

Dnia 27 maja b. r. w rozgłośni lwowskiej Polskiego Radja odbyło się pod przewodnictwem dyrektora rozgłośni p. Janusza Żuławskiego posiedzenie sądu konkursowego, który rozstrzygnął konkurs na wiersz o radjo, ogłoszony przez redakcję „Nowych Czasów" wspólnie z rozgłośnią Polskiego Radja we Lwowie.

Ogółem na konkurs nadesłano 42 utworów.

Sąd konkursowy nie przyznał pierwszej nagrody żadnemu z nadesłanych wierszy.

Drugą nagrodę w kwocie **zł. 40** przyznano utworowi p. t. **„Ballada sentymentalna o speakerze"** oznaczonemu godłem **„Orjon"**.

Dwie trzecie nagrody po **20 zł.** przyznano: utworowi p. t. **„Muzyka radjowa"** (godło „Montioye"), oraz utworowi **„Speakerka"** (godło „Walt Disney").

Po otwarciu kopert z nazwiskami, autorami nagrodzonych wierszy okazali się:

p. **Kazimierz Raczey** ze Lwowa (godło „Orjon"),

p. **Maciej Freudman** z Zaborza (godło „Montioye")

i p. **Janina Poraska** z Warszawy (godło „Walt Disney").

Poniżej drukujemy dwa nagrodzone wiersze.

Ballada sentymentalna o spaekerze

Już runęło deszczem w ogrody,
bzy zakwitły, wezbrały stożki drzew soczyście,
sentymentalną staje się każda rzecz
więc i ta ballada oczywiście.

Do snu trudno przymknąć powieki,
kiedy burza zieloności grzmi nad nami,
gdy aleje kasztanów zaczynają plonąć
różowemi świeczkami jak kwiatami.

I to właśnie kiedy tak się dzieje
i już oczu nic od tego oderwać nie może,
naczelny dyrektor radja w Filadelfji jest zły
t. zn. nie w humorze.

Zasadniczo w grę wchodzą tu dwie sprawy:
żona i ten speaker numer dwieście,
żona narzeka na samotność,
speaker przez mikrofon brednie płecie.

Jeszcze żonie można rzec, że trudno,
powie się jej: żyć trzeba, jakoś się ją przeprosi,
ale żeby taki speaker głupstwa plótł,
radjostacji ujmę przynosił?

Mógłby właściwie zawołać go tu
i wyrzucić na zbity łeb,
ale ten bałwan ma urzekający głos,
pozatem odbierze mu się chleb...

I dlatego w czas wiosennych spraw,
aromatów i młodości zielnej
niepokoji się milcząco zapatrzony w deszcz
radjostacji dyrektor naczelny.

A tymczasem z oczyma w mętnej mgle
brnie wskroś deszczu speaker numer dwieście.
To dla niego rwie wiatr strzępy chmur
i wiosenność szaleje po mieście.

To dla niego księżyc pośród mlecznych pian
dzwon milczenia kołysze nad głową. —
— myśli speaker: przy podwyżce pensji
rozpoczniemy życie na nowo.

Rozpoczniemy! — to znaczy razem z Jenny
najpiękniejszą spośród wszystkich dziewcząt
— idzie śpiesznie — jest już późna noc
nad ciemnemi ziemiami gwiazdy ślęczą.

Deszcz ustaje — Jenny daleko stąd,
chciałby przy niej być blisko, tyle czułych wyszeptać słów,
Noc puszyszta wyściela ziemię
zapachami wilgotnego bzu.

Przez mikrofon mówi speaker: ubiegłego dnia
notowano na giełdzie obrót dzienny...
I dodaje na tysiące mil:
już się wkrótce pobierzemy Jenny...

W Urugwaju doszło do starć...
ale cóż to nas Jenny obchodzi,
jeśliś zmęczona — przestań słuchać
idź spać — północ nadchodzi...

Obecnie nadajemy koncert z płyt,
słuchaj Jenny — ten boston dla ciebie.
Jakbym teraz przy tobie chciał być
i tysiące dalekich mil przebiec...

Na tem kończymy program dnia
i życzymy ci Jenny dobrej nocy,
śpij spokojnie w ten wiosenny czas,
śpij — przymknij oczy...

— — — — — — — — —

Na drugi dzień dyrektor Peterson
z gniewu jak rak poczerwieniał,
kazał zawołać speakera numer dwieście
i rzekł: dziękuję panu! dowidzenia!

W wieczór ten już napróżno Jenny
nadsłuchuje głosu zdaleka.
Przeszły godziny czułych słów,
a Jenny czeka.

Zanim nadejdzie list od Piotra
(tak zwał się speaker numer dwieście)
samotna będzie czekać Jenny
z niepokojem w dalekiem mieście.

KAZIMIERZ RACZEY.

Muzyka radjowa

Świat cały kręci się w palcach wszechwładnych i uszach
nadpływa dalekość słowami stu krajów i lądów
a dopędzona w eterze wszechmuzyczna dusza
obleka się w ciało melodyj, strun i akordów.

Za oknami czeremcha kwitnie. Wiosna jest bliska i jedna
a tu tyle wiosen szaleje ile na świecie sygnałów
a tu tyle majów i wiosen z Londynu, Rzymu i Wiednia
aż ciasno samotnej ciszy, a sercu — zamało.

Ciemnieje wieczór muzyczny i światła na globie płoną
jęczy nieznany koncert wbity na ostrza stu anten
— nieznana miłość miljonów śpiewa gorącą canzonę
i miljon serc się ucisza jednem dalekiem andante.

Dokąd pobiegnę by znaleść usta, by strun tych dotknąć?
kiedy wyciągam ręce — skrzynki dotykam drewnianej
— otoście iskry stu stacyj omamiły moją samotność
przelecisz wszechmuzyczna duszo... lecz nie zostaniesz.

Będę sam, niewidzący w mroku, błądził po falach jak żeglarz
będę zawijać do portów Moskwy, Paryża i Pragi
aż mnie o północy melodjo wszechświata pożegnasz
i wtedy na snów wiatr zwodniczy nastawię samotny żagiel.

MACIEJ FREUDMAN.

Pozorna rewolucja

Ostatnie lata młodej poezji polskiej przyniosły wzmożenie wpływów t. zw. „awangardy". Ponieważ najszerszy ogół i przeciętny czytelnik gazet nie orjentuje się niemal zupełnie we współczesnej poezji, w jej zagadnieniach i nurtujących ją prądach trzeba dać wpierw jaknajbardziej skondensowane wyjaśnienie na czem polegała „awangardowość" awangardy.

Ruch, który potem nazwano awangardowym, wyszedł z Krakowa. Tadeusz Peiper „Zwrotnicą", wypełnianą w ogromnej większości przez świetnie pisane artykuły jego redaktora i przez wiersze, których świetność była conajmniej problematyczna. „Zwrotnica" napróżno usiłowała zwalczyć w opinji czytelniczej wpływy dominujących już wtedy a wybijających się świetnemi talentami poetów „Skamandra".

Kilka lat temu spuściznę ideową Peipera podjęła znowu w Krakowie niewychodząca już „Linja". Pięć numerów tego czasopisma, wydanych na przestrzeni dwu lat stało się drożdżami nowego ruchu wśród najmłodszych poetów polskich. Ponieważ wzmożenie tego ruchu należy już dziś do przeszłości i ponieważ ruch ten miał swoje dobre skutki, warto się zastanowić nad tem, co rewolucyjnego i co zapładniającego wniósł on do dorobku poetyckiego lat ostatnich.

„Linja" głosiła jednocześnie wiele rzeczy znanych z poprzednich artykułów Peipera. Mniej może deklamowała o masach, mniej była zaborcza, nie obejmowała wszystkich sztuk naraz, jak to uczynił Peiper, który obejmował kręgiem swego nowatorskiego umysłu zarówno literaturę jak i malarstwo, kino, radjo, teatr.

Nowy program „Linji", streszczony jaknajbardziej ogólnie da się streścić bardzo pobieżnie w następujących zdaniach. Poeci „Linji" (Jalu Kurek, Przyboś, Brzękowski, Czuchnowski) wystąpili gwałtownie przeciwko bezpośredniości liryki, którą uprawiają właśnie skamandryci. Bezpośrednie przeżycia, bez wyboru rzucane na papier nie miały dla nowych poetów wartości. Całą poezję i osiągnięcia skamandrytów nazwali „liryczeniem" i kataryniarstwem i wogóle odsądzili od wszelkich wartości. Równocześnie wystąpili przeciw zwrotce i normalnej formie klasycznego wiersza. Pisali rozbitym wierszem, o rymie oddalonym, najczęściej osłabionym asonansami, a nabrzmiałym od wielce ryzykownych (zwłaszcza u Brzękowskiego nieraz śmiesznych) metafor. Takim miał być właśnie styl nowej rzeczywistości poetyckiej. Młodym studentom polonistyki, zaczynającym pisać wiersze radzili ci głosiciele nowej poezji zerwanie ze śpiewankowaniem i nieopanowaniem własnych przeżyć na korzyść tworzenia wierszy według nowych recept. Nowy styl poetycki miał się odznaczać właśnie ściśle celową konstrukcją słowa, skrótem w wypowiadaniu swych uczuć, śmiałą metaforą. Oszczędność słowa miała się odznaczać w stosowaniu t. zw. elizji, czyli wyrzutni niepotrzebnych słów, przez co wiersz miał zyskiwać na jędrności i wyrazistości, stawał się trudniejszy do czytania i do rozumienia i zmuszał mózg do pracy nad zrozumieniem zawile ukrytego sensu. Inna rzecz, że te wywody teoretyków - poetów często nie zgadzały się w praktyce z pisanemi przez nich wierszami, podobnie jak to się zdarzało już nieraz wszystkim tym artystom, którzy usiłowali wtłoczyć własną twórczość w sztuczne i stwarzane przez siebie samych ramy. Pod tym względem eksperymenty „Linji" były niezupełnie szczęśliwe, a poglądy teoretyków były często sprzeczne między sobą. Cały ten przepis teoretyczny skomplikował nieco Brzękowski, stosując jeszcze pewne wskazania francuskich surrealistów.

Zasługa „linjowców" nie polega też na ich własnych zdobyczach, ale na tem, że potrafili nowe młode pokolenie poetyckie, które właśnie wyszedłszy z gimnazjów usiłowało stworzyć własne programy i zacząć pisać po swojemu, zachęcić do prób tworzenia własnego programu. Wszelki taki ruch w nowych pokoleniach jest pożądany, daje czasem w rezultacie rzeczy nowe. Tembardziej, że skamandryci przestali odgrywać rolę budzicieli nowych ruchów literackich, oddziaływując na młodszych od siebie już tylko swoją twórczością, zawsze najwyższej klasy. Program „Linji" podchwycili przedewszystkiem i przerobili na własny użytek młodzi poeci Wilna, którzy po rozmaitych perypetjach wydawali własne pisma („Smuga", „Piony", „Żagary"), aby się zdecydować ostatecznie na wspólne „Żagary". Z poetów tych rekrutuje się dziś część najmłodszych współpracowników nowego, zregenerowanego niezawsze z najlepszym skutkiem „Skamandra" (Miłosz, Zagórski). Program „Linji" podchwycili także inni poeci regjonalnych środowisk.

Potem sami awangardziści, a przynajmniej ich najzdolniejsza część, przeszli wielce znamienną ewolucję.

Oto poprostu przestali być awangardzistami, co było bodaj najważniejszym szkopułem. Wrócili do zwrotek, do bezpośredniości nawet i do śpiewnoci wiersza. Pewne zdobycze jednak przetrwały. Metafora zyskała na świeżości, próby skondensowania i wyboru własnych wzruszeń doprowadziły do świetnych rezultatów, a dążenia do pośredniości stosowanej w wierszu doprowadziły jeszcze nie do renesansu, bo o tem mówić zawcześnie, ale w każdym razie do powrotu do epiki, zarzuconej przez poprzednie pokolenie prawie w zupełności. Wystarczy wspomnieć o wierszach Łobodowskiego czy spokojnych, choć dziwacznych nieco i trudnych nieraz, ale zawsze niepokojących swą dojrzałością i skończonym nieraz artyzmem wierszach Miłosza. To samo da się powiedzieć o ostatnim laureacie Akademji Literatury, Światopełku Karpińskim, który chociaż nigdy nie był poetą awangardowym, w swych krótkich wierszach nawet wykazuje obok wpływów awangardy (metafora, skróty) także próby poezji opisowej, w jaknajlepszym gatunku.

Tyle da się powiedzieć o próbach ostatniej rewolucji w zakresie poezji. Trzeba poruszyć jeszcze jedną stronę zagadnienia. Młode pokolenie poetyckie, to zwłaszcza, które wyszło spod znaku „Linji", wydało spośród siebie poetów, których określa się nie zawsze szczęśliwem mianem — poetów społecznych. Pokolenie to wydało wiersze, które są jaknajściślej związane swym tragizmem z epoką i z wszelkiemi wstrząsami, które odczuwamy sami, wreszcie odbijają się w niej światowe ruchy socjalne. W młodem pokoleniu znajdziemy także poetów walki, a nie tylko osiągnięcie formalne. Wyszukana metafora, skondensowanie wyrazu poetyckiego, skomplikowane jeszcze w dodatku nieuniknionemi w takich wypadkach występami rasowych grafomanów nie mogły trafić do czytelnika, którego miały przekonać o sprawie proletarjatu. W tem leżała i nie skończyła się bodaj jeszcze cała tragedja tak rasowego społecznika-poety, jakim jest Czuchnowski.

Oto i wytłumaczenie całej pozorności tej literackiej rewolucji, której rewolucyjność jest nieraz niewątpliwa, ale nieużyteczna. Duża część poetów tego pokolenia zrozumiała po pewnym czasie kłopotliwość własnej sytuacji, zrozumiała trudność walki i pisania dla najszerszych warstw społecznych nowym językiem poetyckim, zupełnie dla tych warstw niezrozumiałym, a często utrudniającym odróżnienie prawdziwego grafomana. Ta część, wyciągnąwszy z programu „nowej poezji" rzeczy dla własnego talentu najodpowiedniejszego, zrezygnowała z dawniej zajmowanego stanowiska i wróciła do starych dobrych, zrozumiałych dla wszystkich form. Reszta zaskorupiła się i skostniała.

Ta zaś część, która ogłosiła nawrót do starych form, najzdolniejsza, zamieniła w dużej części rewolucyjność formy na rewolucyjność treści. I tu bodajże kończy się rewolucja pozorna, której uległa w latach ostatnich poezja polska.

Skończyła się rewolucja pozorna, a zaczęła się rewolucja na serjo. I na tę rewolucję, która już trwa, już wydała nowe talenty, już dopracowuje się w ogniu idących dni własnych osiągnięć wypada zwrócić baczną uwagę. Ale to już temat artykułu o innem założeniu.

Wystarczy tylko stwierdzić, że poezja polska, t. zn. młode pokolenie poetyckie weszło na nowe drogi.

Tadeusz Hollender.

salon plastyków

Związków Zaw. Polsk. Artystów Plastyków z Krakowa, Lwowa, Łodzi, Poznania i Warszawy.

W Pałacu Biesiadeckich został obecnie otwarty reprezentacyjny „Salon Plastyków" gromadzący w swych salach poważny odłam całego współczesnego malarstwa polskiego.

Pomijając niezbyt korzystne ramy zewnętrzne, sama wystawa jest niezmiernie ciekawą i daje przegląd pewnych usiłowań i osiągnięć plastycznych, które dokonują się w Polsce w ostatnich latach. Widać po jakich linjach idą i dokoła których zagadnień się obracają dzisiejsi plastycy polscy.

Charakterystyczną jest cecha zmniejszanie się zainteresowań dla zagadnień formalnych o charakterze abstrakcyjnym. Konstruktywiści czy surrealiści tworzą znikomą mniejszość, a na plan pierwszy wybija się zagadnienie i rola koloru, w połączeniu z formą interpretowania w sensie realnym. W obecnym salonie dominuje kolor, forma jest mu stanowczo podporządkowana, on ją ustawia i kształtuje na płaszczyźnie obrazu, co niekiedy daje i ujemne rezultaty w pracach, które będąc ciekawemi kolorystycznie mają wyraźnie nieprzemyślaną kompozycję formalną. W grupie kolorystów na plan pierwszy wybijają się prace J. Cybisa. Cybis działa całością obrazu, którego płaszczyzna jest kapitalnie zorganizowana z punktu widzenia kształtu i barwy. Jest on malarskim w całym tego słowa znaczeniu, jego „martwa natura" z ptakiem, mimo pozornego podziału obrazu formą i kolorem jest niemi jednocześnie pierwszorzędnie związana. Barwy soczyste mocne, zestawienia wyszukane, a jednocześnie działające bezpośrednio.

Najbliższa mu swą wizją malarską i podejściem do problemów kolorystycznych jest Rudzka-Cybisowa, której kwiaty są jednym z najlepszych obrazów w Salonie.

Do malarzy, którzy działają organizacją obrazu należy także Wodyński. Jest to artysta, który z młodszego pokolenia jest dla mnie jednym z najbardziej malarskich. Jego „Portret żony" jest wyrazem dużej dojrzałości artystycznej.

Do najlepszych prac poza omówionemi należą w Salonie obecnym „kwiaty" Potworowskiego, syntetyczne w kolorze i formie, subtelnie różnicowane „Wnętrza" T. Czyżewskiego, dużo nastroju malarskiego ma „kompozycja" Waliszewskiego.

Radnickiego doskonała jest „Martwa natura" mocna i surowa w syntezie barwy i formy. Bardzo wytrawnym kolorystą jest J. Studnicki, jego „Pejzaż nad Sanem" oparty na małych różnicach jest bardzo subtelnie malowany.

Rzepińskiego „Kompozycja" ogromnie interesująca malarsko, ma akty malowane z wykwintnym smakiem. Ciekawą jest „Martwa natura" Jacka Żuławskiego, namalowana prawie bez momentów przestrzennych, z małymi zmianami natężenia kolorystycznego.

Taranczewski jest kolorystą o gamie zdecydowanie ściszonych zestawień, przy bardzo wyszukanej formie, doskonałem jest jego „Okno".

Akwarele Gepperta harmonijne w kolorze, bardzo dobra Tomorowicza „Zabawa nad Ikwą" rozwiązana subtelnie w kolorach różowawych i szarych.

Słabsze niż zazwyczaj prace przysłali na Salon obecny znani zresztą artyści, jak T. Niesiołowski czy Zbigniew Pronaszko. Podobnie Wąsowicz, który ma tutaj obrazy zwarte kompozycyjnie, ale kolorystycznie słabsze. Duża kompozycja Gotliba ma dobrze namalowane pewne partje. Ciekawe zestawienia zieleni mamy w pejzażu W. Lama. Dobry jest „Akt" Rużyckiej i „Wnętrze" R. Sielskiego, pejzaże Kuczborskiej, Wilkanowicza i Teisseyre'a, utrzymana w różach i brązach „Kompozycja" M. Sielskiej. Lekko jasną paletą malowane są „Kwiaty" Różańskiej.

Przechodząc do grupy abstrakcjonistów widzimy kapitalną „Scenę jarmarczną" A. Pronaszki, interesujące poszukiwania Chwistka, surrealistyczne prace Lillego, Hana, Strenga i Adlera, konkruktywizm Strzenińskiego, a wreszcie prace Lewickiego czy Blondera.

Przy grupie tej ocena wartości malarskich staje się bardzo utrudniona, gdyż są to prace, z których wiele wyszło już z zakresu pojęcia malarstwa a dla określenia tego, co reprezentują brak definicji — dla tego też trudno mówić o krytyce.

Z rzeźbiarzy biorą udział w Salonie: Tracz, Majchrzak, Pugetowa, Wiciński i Katarzyna Kobro, o ile jej eksperymenty można określić jako rzeźbę.

W całokształcie Salon obecny daje nam cały szereg prawdziwych wzruszeń artystycznych choć nie wszystkie prace stoją na jednym poziomie, ale łączy je wspólna platforma rzetelnego wysiłku malarskiego dla tworzenia prawdziwie dobrego malarstwa w współczesnej Polsce, w związku z kulturą zachodnią, której zdobycze, jak wszystko co wchodzi w dziedzinę sztuki są wspólną wartością ogólnoludzką.

Anna Marja Mars.

gospodarstwo

Droga do naprawy gospodarczej

Analizując poszczególne dziedziny naszego życia gospodarczego, dochodzimy niestety do przekonania, że wbrew głosom nastrojonym na nutę optymizmu, wszystkie dotychczasowe poczynania, mające na celu gospodarczą naprawę Rzeczypospolitej, nietylko nie osiągnęły zamierzonego celu, lecz przeciwnie doprowadziły do pogłębienia kryzysu. Dobitne potwierdzenie tego faktu znajdziemy przedewszystkiem przy bliższem rozpatrywaniu najistotniejszych sprawdzianów położenia gospodarczego, t. j. stanu zatrudnienia rzesz pracowniczych oraz przy badaniu rentowności gospodarstw rolnych.

W szczególności ilość bezrobotnych w Polsce nie zmniejsza się, lecz stale wzrasta, gdyż na rynek pracy, dzięki naturalnemu przyrostowi ludności przybywają coraz to nowe zastępy, nie objęte urzędowo statystyką bezrobotnych. Jak długo te zastępy młodzieży, która nigdy nie miała możności znalezienia pracy, będą bezskutecznie jej poszukiwać, tak długo złudzeniem będzie twierdzenie, że sytuacja ogólna ulega zmianie na lepsze. Nawiasem zauważyć należy, że dla wytworzenia sobie prawdziwego obrazu naszej smutnej rzeczywistości należałoby sporządzić spis wszystkich mieszkańców (nietylko miast, ale i wsi), pozbawionych pracy. Spis taki, utrzymywany w stanie aktualnym, byłby znakomitym sprawdzianem naszego położenia gospodarczego.

Analizując z kolei sprawę rentowności gospodarki rolnej dochodzimy do przekonania, że gospodarka ta od kilku lat jest bezwzględnie deficytowa i że rolnictwo stale ponosi straty. Straty te, wedle obliczenia podanego w „Kurjerze Porannym" z 10. V. b. r. wynoszą za lata 1931—1934 7.7 miljardów zł. (We Francji w tymże czasokresie straty te wyniosły tylko 1.8 miljardów zł.). Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że warsztaty 2/3 ludności Polski od szeregu lat nie rentują się i że z dochodu społecznego i obrotu ubyły tak olbrzymie sumy, to dziwić się poprostu należy, że objawy kryzysu nie przybrały form znacznie bardziej niepokojących.

Jak długo tak poważna większość ludności jest elementem biernym w gospodarstwie narodowem, to nie może być oczywiście mowy o wyjściu z impasu i przełamaniu kryzysu. Z tego też powodu cały wysiłek społeczeństwa powinien być nastawiany w kierunku doprowadzenia warsztatów rolniczych do opłacalności. Tylko wówczas w naturalny sposób będzie możliwe rozwiązanie niemniej ważnego problemu, t. j. kwestji bezrobocia. Z chwilą bowiem, gdy dwadzieścia kilka miljonów obdartych parjasów przemieni się w obywateli - konsumentów, będzie mógł ruszyć z miejsca nasz przemysł i zatrudnić bezrobotnych. Zresztą potrzeba przywrócenia rentowności naszemu rolnictwu jest powszechnie uznaną. Uznaje ją także p. Matuszewski. (v. „Gazeta Polska" z 9. V. b. r.).

Do przywrócenia tej rentowności dążono jednak dotychczasową drogą, mającą na celu obniżenie ogólnego dochodu społecznego i dostosowanie go do dochodu rolników. Była to teorja zwana popularnie „zaciskaniem pasa", przy równoczesnem stosowaniu liberalizmu gospodarczego. — W myśl więc powyższej teorji starano się zniżyć do poziomu dochodów a zatem i sposobu życia naszego chłopa zarówno robotnika, jak i pracownika umysłowego. Gdyby tę zasadę równania w dół stosowano konsekwentnie, to dziś nietylko dzieci chłopskie byłyby przechowywane zimą we workach ze sieczką, ale wogóle wszystkie dzieci polskie (z nielicznemi wyjątkami).

Równolegle starano się przez obniżenie cen wyrobów przemysłowych i obniżenie świadczeń publicznych, związanych z rolnictwem, podnieść siły kupna ludności rolniczej. Niestety, skutków dodatnich nie osiągnięto, gdyż te zabegi były połączone z koniecznością obniżenia wynagrodzeń pracowniczych, co znów sprowadziło do kurczenia się konsumcji względnie obniżki cen towarów, nie objętych handlem zorganizowanym, a więc w pierwszym rzędzie rolniczych. Zamiast więc poprawy obserwowaliśmy stałą tendencję zniżkową dla produktów rolnych, a w rezultacie pogłębienie się kryzysu.

Zresztą obniżenie niektórych świadczeń publicznych dokonane głównie kosztem dochodów miast nie mogło dać rezultatów, gdyż zniżka nie pozostawała w żadnym stosunku do strat, jakie ponosi rolnictwo. Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że nawet **zwolnienie** rolnictwa od płacenia **podatku gruntownego wogóle,** nie zaważyłoby na szali, gdyż podatek ten wyrażający się cyfrą 70 miljonów rocznie stanowi dopiero około 5% wykazanej powyżej sumy strat.

Nasuwa się więc mimowoli pytanie, dlaczego straty, poniesione przez rolnictwo, są znacznie mniejsze we Francji, niż w Polsce. Otóż Francja, nie bojąc się straszaka wysuwanego stale w Polsce przez t. zw. „czynnik gospodarczy" pod nazwą „etatyzmu", wprowadzała częściowy monopol handlu zbożem (pszenicą) i potrafiła, dzięki temu, utrzymać ceny płodów rolnych na znacznie wyższym poziomie od cen kształtujących się w Polsce. Gdybyśmy za przykładem Francji byli w chwili załamania się konjunktury podtrzymali ceny produktów rolnych, to równowaga tych cen z cenami wyrobów przemysłowych byłaby utrzymaną i nie byłoby kwestji „rozwartych nożyc". W rezultacie przebieg kryzysu, ogarniającego cały świat, byłby w Polsce przybrał formy o wiele łagodniejsze. — Zrównanie dziś cen rolniczych w Polsce z cenami we Francji nie wydaje się wskazane, z uwagi na kwestję nagłego wzrostu kosztów utrzymania. Zwyżkę cen należałoby przeprowadzać bardzo powoli, by nie wywołać wstrząsów gospodarczych i zatargów ze światem pracy.

Pozatem struktura gospodarcza we Francji jest odmienna niż w Polsce. U nas bowiem sposób dokonywania obrotów ziemiopłodami, przy niskiej kulturze ludności, jest tak specyficzny, że stanowi zdaje się unikat w Europie. Pod tym względem wieś nasza wykazuje dużo podobieństwa do osiedli malajskich znanych z barwnych opisów dawniej Multatuliego a współcześnie Conrada Korzeniowskiego. Tu i tam bowiem ludność przy pozbywaniu swoich produktów jest zmuszona oddawać je po cenach niższych od kosztów własnych. Zachodzi jednak ta różnica, że u nas tę wyłączność handlu posiadają pośrednicy faktycznie na podstawie porozumienia się, co do poszczególnych okręgów (znane są z dzienników niedawne wypadki pobicia przez handlarzy nierogacizny przedstawicieli spółdzielni z powodu płacenia wyższych cen za towar) — w kolonjach zaś angielskich czy holenderskich, analogiczny stan jest ulegalizowany formalną koncesją na eksploatowanie dzikusów. O ile można nie dziwić się Anglikom czy Holendrom, że tak postępują w swoich kolonjach, to trudno zrozumieć, dlaczego my pozwalamy we własnem państwie na wyzyskiwanie dwudziestu kilku miljonów przez znikomą mniejszość. Czy przyjście z pomocą tej szarej rzeszy nie powinno być **naczelnem hasłem dnia?**

Uzyskanie przez rolnictwo cen, zapewniających opłacalność produkcji, odbyć się może nie kosztem konsumentów, lecz **wybujałego pośrednictwa,** tak, że gospodarstwo narodowe na żadne wstrząsy narażone nie będzie. Do przejęcia zaś z rąk pośredników obrotów artykułami rolniczemi należałoby powołać **organizację rolniczo - handlową,** o której była mowa w „Nowych Czasach" 1. II. b. r. Wówczas nadmierne zyski u pośredników przedstawiające równowartość kilkuset miljonów złotych w stosunku rocznym, pozostałyby w rękach producentów rolnych i wywołałyby ożywienie życia gospodarczego. Ożywienie to byłoby tem intenzywniejsze, że równolegle w powyższej organizacji mogłoby znaleźć zatrudnienie około sto tysięcy bezrobotnych pracowników umysłowych.

Powołana do życia organizacja rolniczo - handlowa mogłaby ponadto wpłynąć na wprowadzenie pewnej **planowości** w rolnictwie, tak potrzebnej dla całości naszej gospodarki narodowej. Polska bowiem z jednej strony produkuje pewne artykuły rolnicze w nadmiarze, nie pokrywając natomiast zapotrzebowania szeregu takich surowców, które powinno możliwości wytworzenia ich w kraju, musimy sprowadzać z zagranicy. Oprócz tego organizacja taka mogłaby wpłynąć na zwiększenie wydajności naszego rolnictwa, zajmującego pod tym względem jedno z ostatnich miejsc w Europie.

Dla naświetlenia powyższego, przytoczymy z Małego Rocznika Statystycznego z r. 1935 następujące dane:

W r. 1934 sprowadziliśmy bawełny za 113 milj. zł., wełny i innych surowców włókienniczych za 90 milj. zł., skór surowych za 33 milj. zł., tłuszczów za 15 milj. zł. Wszystkie powyższe surowce z wyjątkiem bawełny, którą jednak w znacznym stopniu moglibyśmy zastąpić **lnem** — jesteśmy w możności z łatwością wyprodukować w kraju. W tym celu należałoby jedynie zwiększyć wydajność w poszczególnych działach produkcji rolnej, a zwolnione obszary z pod danej uprawy zużytkować dla hodowli brakujących surowców. Możliwości w tym kierunku mamy bardzo wielkie.

W przecięciu bowiem za lata 1929—1933 Danja (względnie Holandja) wyprodukowała z 1 Ha w q (cyfry odnoszące się do Polski w nawiasie):

Pszenica	28.8(11.9)
Żyto	21.7(11.4)
Jęczmień	27.2(12.1)
Len	7.5(3.6) i t. d.

Na 100 zaś Ha utrzymywano sztuk:

Bydła rogatego	71.3(23.8)
Nierogacizny	102.7(18.2)
Owiec (Anglja)	108.6(6.6)

Przyglądając się tylko tym kilku cyfrom, widzimy, że zupełnie niepotrzebnie sprowadzamy z zagranicy surowców za blisko 200 miljonów (po odliczeniu części wartości bawełny niezbędnie potrzebnej) zamiast wyprodukować je w kraju. Równocześnie w celu zrównoważenia salda naszego bilansu handlowego, z powodu powyższego zbędnego importu, wywozimy, z efektowną stratą, cukier po 13 gr. za 1 kg., a węgiel po ok. 16 zł. za 1 tonnę (które to artykuły z większym pożytkiem i po lepszej cenie mogliby skonsumować nasi chłopi, gdyby nie prowadzili deficytowej gospodarki).

Powyżej nakreślony sposób podejścia do rozwiązania problemu rentowności gospodarstwa rolnego, decydującego w sprawie kryzysu w Polsce wogóle, spotka się niewątpliwie z zarzutami ograniczenia inicjatywy prywatnej przez wprowadzenie „etatyzmu" i t. p. Niema jednak potrzeby przejmowania się tem stanowiskiem „sfer gospodarczych", które od kilku lat mówią bez skutku o przełamaniu kryzysu drogą inicjatywy prywatnej. W tych warunkach niezrozumiałem wydaje się raczej kurczowe trzymanie się liberalizmu gospodarczego i odżegnywanie się od jakiejkolwiek **planowej gospodarki,** uznanej dziś za celową przez większość państw europejskich. Również odstępstwo od zasad naukowych ekonomji społecznej okazało się w praktyce w niejednym wypadku korzystniejszem, aniżeli ściśle trzymanie się utartych doktryn ekonomicznych.

Czas więc najwyższy, by rozpatrzywszy błędy dotychczasowej naszej polityki gospodarczej i opierając się na dodatnich wynikach poczynań innych narodów, przystąpić wreszcie do opracowania **własnego projektu planowej gospodarki,** dla przełamania kryzysu i osiągnięcia dobrobytu dla całego naszego narodu.

Józef Stobiecki.

kultura fizyczna

ZMIANA OBWODOWEGO KOMENDANTA W. F. i P. W. WE LWOWIE.

Przebywający od 4-ech lat na stanowisku komendanta obw. w. f. i p. w. we Lwowie p. kpt. Józef Groszek został ostatnio przeniesiony na wyższe stanowisko w hierarchji wojskowej do Warszawy.

Kpt. Józef Groszek doskonale zorjentowany w naszych warunkach lokalnych położył wielkie zasługi na polu w. f. i p. w. we Lwowie. O niezwykle jasnym umyśle, ujmującym wszelkie zagadnienia na szerokiej płaszczyźnie — stale z największą troską i zrozumieniem odnosił się do poczynań lwowskich sfer sportowych i czy to radą czy też swem poparciem dopomógł do realizacji wielu pożytecznych zamierzeń.

Sportowy Lwów z prawdziwym żalem pożegnał pioniera, oddanego calem sercem idei W. F.

* * *

Jak się dowiadujemy komendantem obwodowym przy 40 p. p. został mianowany kpt. Berezowski z 86 p. p. z Mołodeczna, który swego czasu bawił już we Lwowie.

T. L.

DROBIAZGI

Wielkie imprezy sportowe we Lwowie. Miasto nasze będzie w najbliższych dniach widownią dwóch imprez sportowych zakrojonych na większą skalę. Lwowski Klub Tennisowy organizuje począwszy od 8 czerwca b. r. 7-miodniowy turniej tenisowy o narodowe Mistrzostwo Polski, w którem wezmą udział wszyscy najwybitniejsi tenisiści polscy.

*

Pod kierownictwem p. Aliny Łukowskiej instruktorki Okr. Urz. W. F. i P. W. odbywa się obecnie kurs przodowniczek ćwiczeń ruchowych, który kupia 30 uczestniczek.

*

O nagrodę Kuratora Okręgu Szkolnego we Lwowie walczy 94 uczniów lwowskich szkół średnich w pierwszych zawodach szermierczych odbywających się w hali sportowej.

Ostrzeżenie !

Z dniem 15 października 1935 unieważniono akwizytorskie upoważnienia do przyjmowania prenumerat na rzecz naszego pisma.

Ponieważ obecnie zupełnie zaprzestano akwizycji prenumerat, przestrzegamy przed grasującymi oszustami.

Prenumeraty należy wpłacać jedynie za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych.

Administracja „Nowych Czasów"

List do redakcji

Od p. Stefana Kawyna otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o zamieszczenie w „N. Czasach":

W dniu 3 maja b. r. wystosowałem do wszystkich członków zespołu „Sygnałów" listy treści następującej:

„Zgłaszam wystąpienie z Zespołu „Sygnałów". (Podpis)

W kilka dni potem otrzymałem ze strony p. Karola Kuryluka, redaktora „Sygnałów", list z 7 maja b. r., który pozwalam sobie w całości przytoczyć:

„Drogi Panie Redaktorze, (sic!) Z przykrością dowiedziałem się o Pańskiem postanowieniu. Nie mogę sobie jednak wyjaśnić przyczyn Pańskiego kroku. Muszę być w porządku wobec Zespołu i wobec siebie. Czy mogę zatem prosić, aby Pan wyjaśnił, co spowodowało Pańską decyzję. W piątek, 8 maja, o godz. 19 (7 wiecz.) w domu pp. Górskich jest zebranie Zespołu. Jeśli Pan będzie mógł, proszę o obecność; jeśli nie, to proszę uprzejmie o uzasadnienie listowne. Łączę serdeczny uścisk dłoni, Karol Kuryluk".

W odpowiedzi na te słowa wysłałem p. Kurylukowi list z 8 maja b. r., który również w całości przytaczam:

„Kochany Panie Karolu! Z treści Pańskiego listu wynika, że wystąpienie moje z Zespołu „Sygnałów" przyjęte było jak niespodzianka, która wymaga uzasadnienia. żądacie tego odemnie, daję te więc Wam. Sprawa jest jasna: dopóki „Sygnały" były wyrazem całokształtu twórczości literackiej i umysłowej młodego Lwowa, dopóki było w nich miejsce na wypowiedzi różnokierunkowe i dopóki każdy z członków Zespołu miał prawo do tych wypowiedzi na łamach Pisma, dotąd i ja w swem sumieniu mogłem być jego pracownikiem, entuzjastą, a czasem nawet apologetą. Z chwilą jednak, gdy „Sygnały", zwłaszcza w swej nowej serji numerów, zaczęły przybierać charakter jednokierunkowy, uwidoczniony szczególnie w komentarzu do mego artykułu („Klasztor i wojsko" nr. 15 z 1 marca b. r.), gdy umieszcza się artykuły w rodzaju np. „Baryka przed marszem" (nr. 17 z 1 maja b. r.) **bez komentarza,** jako artykuł, idący widocznie w ład Redakcji, gdy, w następstwie drukowania takich artykułów, narusza się prawa swobodnej wypowiedzi członka Zespołu, którego poglądy Redakcja zwalcza **oficjalnie,** — nie mogę z tą chwilą pracować w Piśmie o tak jednoznacznej, a obcej mi fizjognomji. Występuję tedy z Zespołu „Sygnałów". Czynię to nie bez żalu, gdy widzę, jak pęka krąg towarzyski, w którym dotychczas pracowałem. Taki jest jednak mus czasów, że nie w koła przychodzi nam się skupiać i w kręgi, ale w linje frontu. Serdecznie dłoń ściskam, Stefan Kawyn. P. s. Gdyby Pan chciał zaznajomić resztę Zespołu z treścią mego listu, proszę to uczynić bez krępowania się, wszakże pod warunkiem, że list będzie oddany do odczytania w całości."

Nie wiem, czy i w jakim zakresie p. Kuryluk skorzystał z przytoczonego upoważnienia. Otrzymuję jednak ze strony różnych osób, m. i. od członka Zespołu „Sygnałów" nawet, zapytania o istotne powody decyzji. Dlatego też zmuszony jestem opublikować korespondencję, której, — sądzę — nie można uważać za całkiem prywatną. Jestem przekonany, że korzyści tej publikacji będą obustronne: **prawda** i zapobieżenie ew. komentarzom.

Stefan Kawyn.

POLACY W RUMUNJI

Wśród 8 - miljonowej emigracji polskiej, rozsianej po całej kuli ziemskiej, Polacy mieszkający w Rumunji stanowią 1%, bo liczą około 80 tysięcy.

Drobny ten napozór ułamek zasługuje na nasze szczególne zainteresowanie. Jeśli bowiem żaden naród sobie pozwolić nie może i nie pozwala na utratę choćby jednostki, oderwanej od pnia ojczystego, to tem mniej my śmiemy być obojętni na los naszej emigracji, a szczególnie naszej Polonji rumuńskiej. Może się ona bowiem nietylko poszczycić niejedną chlubną kartą w dziejach walk o niepodległość, lecz jako lojalni obywatele sąsiadującej i sprzymierzonej z nami Rumunji powołana jest do odegrania roli łącznika spajającego coraz silniej te dwa państwa, zajmujące obszar o wielkiem znaczeniu geopolitycznem. Dlatego podajemy tu krótki szkic życia tej Polonji rumuńskiej.

Każdego Polaka, przekraczającego granicę polsko - rumuńską w Śniatynie i wstępującego na ziemię rumuńską, mile uderzyć musi, że prawie na każdym kroku może swobodnie porozumiewać się po polsku, i to nietylko w pociągu czy na stacji kolejowej, lecz także w miastach i miasteczkach, a nawet w niektórych wsiach bukowińskich. Olbrzymia bowiem większość żywiołu polskiego w Rumunji żyjącego (około 60 tys.) zamieszkuje przedewszystkiem Bukowinę, prastarą kolebkę Księstwa Mołdawskiego. Reszta rozrzucona jest po różnych okolicach całej Rumunji, zwłaszcza po miastach i ośrodkach przemysłowych.

Polonja rumuńska ma swoją dość starą historję. Bukowińscy Polacy z dumą czasem wspominają o rycerzach olbrachtowych, których nawet potomkami w uroczystych chwilach się mienią, co jednak trudno udowodnić. Niewątpliwym natomiast faktem jest, że w wieku XV-ym, XVI-ym i jeszcze XVII-ym w niektórych miastach północnej Mołdawji jak w Suczawie, w Serecie, później w Czerniowcach mieli swe składy — stałe lub czasowe — kupcy i rzemieślnicy lwowscy i z innych miast polskich. Byli to przeważnie Niemcy, Ormianie i inni, lecz nie brak było wśród nich także Polaków. W Suczawie i dziś istnieje starodawny klasztor, który nazywa się Zamca (czyt. Zamka), co dla każdego jest jasnym dowodem polskiego wpływu językowego.

Lecz nie tu miejsce na zajmowanie się historycznemi wpływami kulturalnemi Polski na terytorjum Rumunji.

Jeżeli sięgamy do przeszłości, to chodzi nam o odtworzenie łańcucha genealogicznego żywiołu polskiego w Rumunji. Jakkolwiek w tym lub owym wypadku możnaby wykazać pochodzenie z niedobitków konfederatów barskich, powstań kościuszkowskiego i listopadowego, to jednak większość dzisiejszej Polonji rumuńskiej, zwłaszcza bukowińskiej, pochodzi z pierwszej połowy XIX wieku i ma charakter pokojowej kolonizacji i infiltracji, która się dokonała pod wpływem administracji austrjackiej.

Zabór Galicji i Bukowiny przez Austrję zdarzył się prawie równocześnie (koniec XVIII wieku) i odtąd aż do połowy XIX wieku te dwa kraje korony austrjackiej dzieliły wspólny los, będąc złączone administracyjnie i podlegając gubernium lwowskiemu. Nawet po utworzeniu, w połowie XIX wieku, z Bukowiny osobnego kraju koronnego z własnym rządem krajowym i następnie sejmem pewne dziedziny administracji bukowińskiej pozostały pod zwierzchnictwem Galicji aż do końca wojny światowej, jak kościół obrządku łacińskiego i ormiańskiego, sądownictwo, kolejnictwo.

Stąd kolonizacja niektórych okolic Bukowiny, zwłaszcza podgórskich polskim żywiołem włościańskim. Powstał zatem szereg wsi o ludności bądź w większości lub w mniejszości polskiej. Również wielka własność polska była na Bukowinie przed wojną światową silna, tembardziej, że i ziemianie Ormianie przyznawali się do polskości, wobec czego ta grupa posiadała w sejmie bukowińskim reprezentację równą reprezentacji rumuńskiej wielkiej własności.

Po miastach Polacy byli urzędnikami, sędziami, notarjuszami, lekarzami, inżynierami, adwokatami, aptekarzami, rzemieślnikami i robotnikami.

W starem Królestwie Rumuńskiem Polacy byli w dużej mierze potomkami powstańców, zwłaszcza z 63 roku. Doznawali oni gościnnego przyjęcia zarówno ze strony ludności jak i rządu oraz panujących. Jeszcze przed powstaniem styczniowem patrjoci usiłowali użyć skupień polskich na ziemiach rumuńskich dla zorganizowania poważnych dywersyj przeciw Rosji celem poparcia akcji powstańczej i dlatego głośno rozbrzmiewały wówczas nawoływania: „Kto kocha Ojczyznę, ten spieszy na Wołoszczyznę". Polacy rozwijali w księstwach naddunajskich około połowy XIX wieku żywą działalność bądź jako agenci polskiej emigracji paryskiej, bądź jako organizatorzy wojskowi, bądź jako urzędnicy cywilni w służbie księstw rumuńskich, ciesząc się często poparciem i zaufaniem panujących. Lecz i pokojowa wędrówka o charakterze i celu gospodarczym wiodła Polaków w gościnne ziemie rumuńskie jak np. przy budowie kolei lwowsko-czerniowiecko - jasskiej, przy powstaniu i rozwoju rumuńskiego przemysłu naftowego i t. p. Potomkowie niektórych rodzin polskich dochodzili czasem do najwyższej godności w służbie cywilnej lub wojskowej. O życiu i działalności tych Polaków na ziemi rumuńskiej pisali historycy polscy i rumuńscy, wśród nich Iorga, Panaitescu, Łukasik, Duzinchevici, Balan. Nawet w literaturze występuje motyw Polaków rumuńskich, tęskniących do Ojczyzny i nasłuchujących odgłosów szykującej się ostatecznej rozprawy o Niepodległość.

Polacy w dawnem Królestwie Rumuńskiem posiadali także swoje organizacje: bibljoteki i czytelnie. Twórcą takiej bibljoteki, która była zarazem ogniskiem ideowem w Jassach, był lekarz dr. Łukaszewski, były powstaniec, przyjaciel Kraszewskiego, Gillera i Libelta. Bibljoteka ta przeszła przed wojną w ręce polskie na Górny Śląsk.

Najlepiej jednak byli zorganizowani w dobie przed wielką wojną Polacy bukowińscy. Dzięki ofiarnej pracy wybitnych jednostek Polonja bukowińska była czynnikiem, z którą poważnie liczono się w kraju i w Wiedniu. Najstarszą instytucją polską na Bukowinie jest Bratnia Pomoc i Czytelnia Polska w Czerniowcach, założona niedługo po powstaniu styczniowem.

W rok po założeniu uniwersytetu (1875) powstało Towarzystwo akademików polskich „Ognisko", które w bież. roku obchodzi 60-cio-lecie swego istnienia.

Niedługo potem powstaje w Czerniowcach „Gwiazda", stowarzyszenie rękodzielników polskich, następnie „Sokół", który 3 lata temu święcił swoje 40-tolecie. Potem stworzono bukowińskie T. S. L. Od ostatniego 10-ciolecia ubiegłego wieku Polacy bukowińscy posiadają swój organ prasowy w postaci tygodnika.

W Czerniowcach Bratnia Pomoc i Czytelnia Polska posiadała i posiada Dom Polski przy głównej ulicy. Tu mieszczą się wszystkie związki i stowarzyszenia polskie, tu skupia się całe życie duchowe Polonji bukowińskiej, które w dobie bezpośrednio przedwojennej tętniło czasem bardzo silnie i promieniowało także na prowincję. Po miasteczkach i wsiach powstawały również czytelnie polskie T. S. L., domy polskie, gniazda sokole, kasy Raiffeisenowskie i szkoły powszechne. W Czerniowcach istniało przed wojną oprócz polskiej szkoły powszechnej gimnazjum polskie, Zakład S. S. Marjanek, a na uniwersytecie młodzież polska stanowiła około 8 proc. studentów.

Powstają różne zakłady i fundacje dla uczącej się młodzieży, jak Bursa polska im. A. Mickiewicza, Bursa ormiańska im. ks. Kasprowicza, Bursa rzemieślnicza im. dra Mitkiewicza, Zakład sierót im. ks. Opolskiego i t. p. „Sokół" nabył wspaniałe boisko, którego poświęcenie i uroczyste otwarcie nastąpiło w rocznicę zwycięstwa grunwaldzkiego (1910). I harcerstwo znalazło tu jeszcze przed wojną podatny grunt do rozwoju, kiedy żadna inna narodowość na Bukowinie nie wiedziała wogóle o harcerstwie. Tak samo przysposobienie bojowe odbywało się w sokolich drużynach polowych.

Miała Polonja bukowińska swoich dwóch posłów z kurji powszechnej w sejmie krajowym, prócz 4 posłów z kurji wielkiej własności. Polak (Kochanowski) był długoletnim burmistrzem miasta Czerniowiec i pozostawił po sobie pamięć świetnego włodarza, Polacy zasiadali w radzie miejskiej. Istniała także polska instytucja finansowa pod nazwą „Bank Polski".

Nie dziw więc, że — gdy wybiła godzina dziejowa — Polonja bukowińska spłaciła czynem rycerskim swoją powinność Ojczyźnie. Młodzież akademicka i rzemieślnicza pośpieszyła pod sztandary Legjonów (dziś mamy w Wojsku Polskiem 2 generałów pochodzących z Bukowiny). W czasie przemarszów, postojów lub walk Legjonów na Bukowinie ludność polska wszędzie odnosiła się do nich z serdeczną sympatją. Wzruszające są opowiadania naocznego świadka tych dziejów ś. p. Ks. Bisk. Bandurskiego, który pisze np. o staruszce włościance w pewnej wsi bukowińskiej, która płacząc wtykała Legjoniście 20 halerzową monetę do ręki ze słowami: „kup sobie coś dobrego, boś jest nasz polski żołnierz".

Wielka wojna i na tym terenie poczyniła duże zmiany i spustoszenia, które w późniejszych latach trzeba było i trzeba jeszcze odrabiać.

To co było największem szczęściem dla ziem rdzennie polskich, odrodzenie Państwa Polskiego, stało się w pierwszych latach źródłem osłabienia żywiołu polskiego na Bukowinie. Już sama wojna zabrała dużo pierwszorzędnego materjału ludzkiego, który bądź złożył Ojczyźnie w ofierze swe życie bądź pozostał w Polsce Niepodległej. Po wojnie zaś zaczyna się exodus Polaków z Bukowiny do Polski, zwłaszcza elementu urzędniczego i z niektórych wolnych zawodów czyli to co się nazywa inteligencją. Opustoszały liczne instytucje i stowarzyszenia polskie przedewszystkiem w Czerniowcach, a także tu i ówdzie na prowincji.

Trzeba było zaczynać pracę organizacyjną prawie odnowa. Praca ta napotykała na ogromne trudności najpierw w łonie samego społeczeństwa, któremu ubyło tyle sił wytrawnych, a przybyło dużo swarów i intryg osobistych, a powtóre także ze strony nowych władców kraju, którzy nie znali przed wojną u siebie w dawnem Królestwie Rumunji żadnej kwestji mniejszościowej, a tu nagle po wojnie na nowo odzyskanych ziemiach znaleźli się w obliczu skomplikowanych spraw narodowościowych.

Narodowość polska na Bukowinie była coprawda pierwszą, która uchwaliła w pamiętnych dniach rozpadania się Austrji, że pragnie przyłączenia Bukowiny do Rumunji a tem samem zadokumentowała zgóry czynem swą lojalność wobec Wielkiej Rumunji. Niemniej trzeba było wielu lat pracy, aby zwalczyć nieufność, jaką niektóre organy urzędowe darzą mniejszości narodowe bez różnicy.

Przedewszystkiem jednak należało odbudować swoją spoistość i prężność wewnętrzną, aby odzyskać utracony wielki kapitał szacunku, jakim Polonja się cieszyła u wszystkich innych narodowości kraju. Szczególnie z Rumunami łączyła nas Polaków bukowińskich jeszcze przed wojną przyjaźń i mniej lub więcej przemijające sojusze wyborcze, a co jeszcze cenniejsze, sojusz kulturalny, zawarty w r. 1910 pomiędzy młodzieżą akademicką polską a rumuńską w Czerniowcach, sojusz, który jednoczył nas z Rumunami nietylko dla wzajemnego poznawania kultury i przeszłości, lecz także czasem do walki z zaborcami na terenie uniwersyteckim. Przyjaźń ta przetrwała wojnę aż do dni dzisiejszych nietylko w sercach jej twórców, lecz stała się także tradycją, obowiązującą naszych następców.

Powoli instytucje polskie na Bukowinie zaczęły się odradzać do nowego życia w nowych warunkach. Niektóre organizacje musiały całkiem zniknąć, ustępując miejsca nowym tworom, odpowiadającym lepiej duchowi czasu i warunkom politycznym, inne zaś musiały się przeorganizować.

Nastąpiła także pewna znamienna zmiana roli i hierarchji Polonji bukowińskiej. Przed wojną szła ona niejako w ogonie Polonji galicyjskiej, będąc z nią związana organizacyjnie i ideowo. „Sokół" bukowiński należał do okręgu lwowskiego, T. S. L. również i inne organizacje podobnie. Po wojnie musiało to ustać. Zato teraz ku Polonji czerniowieckiej zaczęły ciążyć ośrodki polskości z całego terytorjum dzisiejszej Rumunji.

Narodową reprezentację parlamentarną polskość w Rumunji straciła, zachowała ją tylko w gminach, przedewszystkiem w Czerniowcach.

Bratnia Pomoc i Czytelnia w Czerniowcach, która przez szereg lat powojennych była terenem walk i wskutek tego straciła dużo ze swego autorytetu, a nawet popadła w długi, od kilku lat znajduje się znowu na drodze zdrowego rozwoju, gdyż nowy jej prezes ks. prałat Łukasiewicz przywrócił jej na nowo powagę macierzy wśród wszystkich organizacyj polskich w Rumunji. Naokoło niej grupują się znowu liczne organizacje, będące bądź w prostej linji kontynuacją przedwojennych, jak np. „Sokół", „Gwiazda", towarzystwa akademickie „Ognisko" i „Lechja", bądź nowemi tworami jak Polski Związek Szkolny, który zajął miejsce dawnego T. S. L. Związek ten pod przewodnictwem wielce zasłużonego jeszcze dla przedwojennej Polonji bukowińskiej dra Aleksandra Skibniewskiego odbudowuje powoli w walce z rozlicznemi przeciwnościami Polski stan posiadania w szkolnictwie. Posiada on swoje prywatne szkoły powszechne w Czerniowcach i w innych miejscowościach na terenie całej Rumunji, uzyskuje w niektórych szkołach państwowych prawo nauczania religji polskiej i języka polskiego, prowadzi swoje 4-letnie gimnazjum polskie w Czerniowcach. Poza Związkiem istnieje tamże nadal Zakład S. S. Marjanek. Przy Związku działa Sekcja oświaty pozaszkolnej, rozwijając ożywioną akcję świetlicową i czytelnianą przedewszystkiem na prowincji. Istnieją nadal i powstają w małych miasteczkach i wsiach domy polskie, które są ogniskami, ześrodkowującemi wszelką działalność narodową i kulturalną.

Na wyższych uczelniach nauka języka polskiego i literatury polskiej uwzględniana jest bądź w wykładach profesorów slawistyki bądź też w specjalnych lektoratach. Także w niektórych szkołach średnich wprowadzona została dla uczniów Rumunów nauka języka polskiego.

W ostatnich latach — pomimo albo może wskutek kryzysu — wziął rozmach wśród Polonji bukowińskiej zwłaszcza na wsi ruch spółdzielczy, któremu patronują pp. Więcławski i dr. Żukowski. Spółdzielnie polskie wytwarzają masło, które pod nazwą „Stach" wyrobiło sobie pierwszorzędną markę w całym kraju. Także wikliniarstwo i koszykarstwo zaczyna się rozwijać. Istnieje również polska instytucja finansowa w Czerniowcach.

Nadbudową organizacyjną, skupiającą w sobie wszystkie komórki tak mocno tętniącego życia polskiego w całej Rumunji, jest założony przed kilku laty dzięki usilnym staraniom ówczesnego konsula p. M. Grabińskiego, Związek stowarzyszeń polskich w Rumunji z siedzibą w Czerniowcach. — Organem prasowym Związku jest „Kurjer Polski w Rumunji", wychodzący w Czerniowcach jako tygodnik i kontynuacja dawnej „Gazety Polskiej" pod redakcją p. Knauffa.

Przez przynależność do Światowego Związku Polaków Zagranicą Polonja rumuńska wchodzi w skład całej olbrzymiej naszej rodziny emigranckiej, biorąc stale liczny i czynny udział we wszelkich jej zjazdach i imprezach.

Jako pewnego rodzaju pendant do organizacyj Polaków w Rumunji istnieje i działa na terenie Polski Związek Polaków b. Bukowińczyków w Polsce z siedzibą główną w Warszawie.

Naszkicowawszy tu bardzo pobieżnie życie naszego żywiołu narodowego na terenie Rumunji, zdajemy sobie sprawę, że niejedno ważne zjawisko, niejedno zacne nazwisko pominęliśmy ze względu na szczupłość miejsca. Niesposób jednak pominąć bardzo troskliwej opieki, jakiej doznaje nasza Polonja rumuńska od przedstawicieli Rzeczypospolitej w Rumunji: ministra Arciszewskiego i konsula Uzdowskiego.

Emil Biedrzycki.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA OTWARTA WE WTORKI I CZWARTKI MIĘDZY GODZ. 19—20.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: LWÓW, RUTOWSKIEGO 8 II. P.
KONTO CZEKOWE P. K. O. „KADRA" NR. 503.914.
PRENUMERATA ROCZNIE 5 ZŁ. KWARTALNIE 1.50 ZŁ. MIESIĘCZ. 0.50 ZŁ.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Romanowicz
Lwowska Drukarnia Nowoczesna — Pasaż Mikolascha. Tel. 216-76.